

WŁ. L.W. w kioskach

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 1 (1605) ROK XXXII

1 STYCZNIA 1989 ROKU

CENA 50 ZŁ

- Seks w życiu małżeńskim str. 19
- Jadowne węże w szkole str. 13
- Leonard: „Facet” str. 8 i 9
- Wojna ubogich medyków str. 6

Panie ministrze! Co by pan zrobił na moim miejscu?

Szopki polskie

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Czytaj strona 5

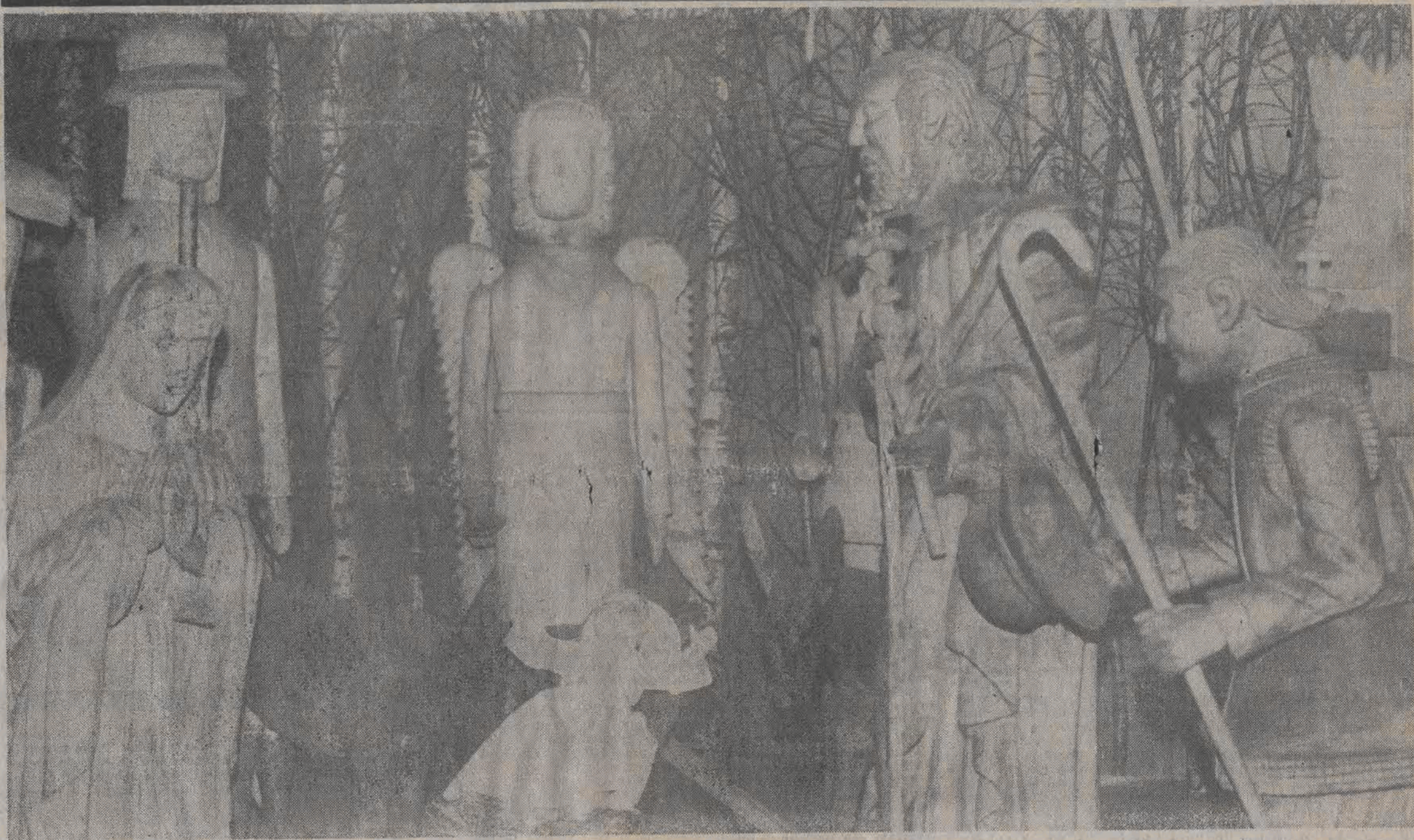


Foto: Grzegorz Galasiński

PABIANICE: Jest komitet społeczny, dokumentacja, pieniądze, ale nie ma jeszcze miejsca, gdzie ma stanąć pomnik.

Powrót Legionisty

RYSZARD BINKOWSKI

Przebrzmiało echo rżenia koni i żydowskich nawoływań do strzelać, znikły kosze wiklinowe, baranice, zapaski, zwiastował zapach okowity i sera. Nie ma już Starego Rynku, na którym od 1842 r. wyznaczano dla miasta cotygodniowe targi. I choćby PSS „Społem” postawiła sto świąteczne kolorowych straganów, nigdy już nie wróci tutaj atmosfera jarmarcznego rejwachu, folkloru, naszych zwyczajów i obyczajów.

Potem naród wybił się na niepodległość i w okresie międzywojnia Stary Rynek stał się miejscem manifestacji uczuć patriotycznych i nadziei na wolną, spokojną przyszłość, którą przekreśliła kolejna wojna. A po wyzwoleniu nie było już placu generała Dąbrowskiego. I nie wiadomo, którego z Dąbrowskich miano wówczas na myśli, ani który z generałów bardziej się nie podobal: ten, co tworzył Legiony, czy ten, co przelewał krew w Komunie Paryskiej?

Przyszli Dziadek Mróz z licznymi upominkami, obdarzając nimi hojnie ulice, miasta i wioski.

Zabytkowym kamieniczkom Starego Miasta trafił się prezent ogromny, aby było na co patrzeć do śmierci. Powstała przeto wyłożona płytkami wielka betonowa płaszczyzna z megalonami, stalowymi masztami i gigantycznymi latarniami w stylu stalinowskim i ów pusty i pęsepnny plac defilad nazwano imieniem Obrońców Stalingradu.

W Pabianicach mówi się, iż miasto jest wdzięczne wyzwolencom, i że nikt nie zamierza ujmować zasług i bohaterstwa tym, co zatrzymali hitlerowców nad Wołgą. Ale czemu wo-

bec tego przekreślono tak boleśnie zasługi generała Jana Henryka Dąbrowskiego? Ano, historii nie zmienia się poprzez wymianę tabliczek. Należy przeto ufać w pogłębiające się procesy demokratyzacji, a wówczas życie samo dokona korekty stalinowskich błędów.

W 1968 r. Polska obchodziła trzy ważne okrągłe rocznice: powstania KPP i niesławnego jej rozwiązania oraz powstania PZPR. W związku z tym wielki pusty plac postanowiono ozdobić obiektem w podobnym stylu. I postawiono na wspornikach ogromne bloki kamienne w towarzystwie strzelistego obelisku. Zima tego roku kończono wznoszenie pomnika według projektu Antoniego Bilasa, poświęconego bojownikom o wyzwolenie społeczne i narodowe. Idea była słuszną, ale wykonanie fatalne, gdyż lepiący na mrozie beton z kruszywem pękał i odpadał, a konserwacja pochłaniała potem miliony. Dzisiaj pomnik wymaga kapitalnego remontu. mówi się nawet o demontażu gigantycznego monumentu. Skrajni ekstremiści liczą na to, że remont zakończy się fiaskiem, bardziej umiarkowani proponują z tej okazji przeniesienie pomnika na drugi koniec placu.

Cześć i chwała bojownikom o wyzwolenie społeczne i narodowe, jak głosi napis na płycie centralnej. Nikt nie ma prawa pomijać wagi

czynów chłopów parcelujących obszarniczą ziemię, bezimiennych komunistów, wojów Chrobrego, robotników walczących o swoje prawa, utrwalonych na kruszczących płaskorzeźbach. Chociaż wątpliwości może budzić centralna płaskorzeźba z napisem „Grunwald-Berlin”, przedstawiająca żołnierzy z pepesami, za plecami których kryją się mało widoczni rycerze króla Jagielly.

Rzecz jednak nie w symbolicznej treści, lecz w symbolicznej formie. Ów pomnik, delikatnie mówiąc, nie najwyższego artystycznego lotu, umieszczono w bezpośrednim sąsiedztwie placu kościelnego. Betonowy monument stoi na tle murów wspomnianego kościoła pod wezwaniem św. Mateusza. Zbudowany w stylu późnorenansowym kościół, pełen zabytków i dzieł sztuki sakralnej, wielokrotnie remontowany, liczy sobie czterysta lat. Ktoś myślał kiedyś, że albo sam się rozpadnie, albo się go rozbierze, bo tej perły kultury polskiej z pewnością przesunąć się nie da. Ten ktoś nie przewidział, iż przyjdą takie dni uroczyste, które czcili będą jednako rząd, naród, partia i kościół, a wówczas w tym samym miejscu na dowód pluralizmu pomiesza się słowo Boże z tekstem referatu odmiennego ideologii. Przy innych zaś okazjach między murem kościoła a bryłą monumentu będą plywać w sieniowym powietrzu baloniki na drutku, furkotac wiatraczki, piskać od-

Panie profesorze, może to pana zaskoczy, że proszę o udzielenie mi wywiadu pragnę na nakierować nie na temat rad, lecz na inne, ogólniejsze sprawy. Oczywiście, jestem też ciekaw pierwszych pańskich spostrzeżeń, a może i niespodzianek, z jakimi zetknął się pan w swojej funkcji przewodniczącego...

— W zasadzie trudno oczekiwać, żeby miały mnie na tym stanowisku spotykać niespodzianki, byłem przecież przez cztery lata członkiem prezydium rady, toteż zdawałem sobie sprawę z licznych obowiązków i trudności, jakie były związane z tą funkcją, a również z tego, że w rozszerzonej funkcji rad obowiązków wszystkich radnych teraz jeszcze się zwiększa. Ale pomimo wszystko nie liczyłem się z obowiązkami, które bym nazwał „liturgiczno-obrzędowymi”, związanymi z reprezentacją, a które są naszą chorobą nie od dziś. Nie chcę przez to powiedzieć, że uważam np. uczestnictwo przedstawicieli władz w uroczystych spotkaniach z załogami za sprawę bez znaczenia, odgrywa to bowiem nieraz ważną rolę integracyjną, służy też zamyśleniu, spotkaniu przez władze znaczenia tej czy innej instytucji lub stowarzyszenia dla życia społeczeństwa. Niemniej jednak odczuwam chwilami znaczną uciążliwość tego rodzaju obowiązków.

— Doskonale rozumiem, że odbywają się one kosztem czasu, który mógłby pan poświęcić pracom naukowym. No, ale wszyscy ludzie myślący a nie obojętni w ten czy inny sposób zaangażowani są modelem życia społeczno-gospodarczego i politycznego, który by najskuteczniej sprzyjał wybrnięciu przez nas z arcytudnej sytuacji. Czy uważa pan, że istotnie rozwój ludowości jest najważniejszą gwarancją wyjścia z kryzysu ekonomicznego? Pytam o to, ponieważ przywykliśmy ostatnio mówić o demokracji i ekonomii jednym słowem.

— Moim zdaniem, powinniśmy sobie najpierw wszyscy uświadomić, że skończyła się nieodwołalnie era, kiedy socjalizm, jego doktryna, była czymś jakby danym, raz na zawsze określonym. Widać coraz wyraźniej, że niewiele ona miała wspólnego z marksizmem, który też, jak i wszystko podlega prawom ewolucji. Jesteśmy właśnie w trakcie doniosłych przewrótów.

— Wielu mówi, że jest to kryzys ideologii, mające na myśli głównie ideologię socjalizmu.

mu. Co do mnie, to umacniał się w przekonaniu, że, jak nigdy dotąd społeczeństwa socjalistyczne skazane są na ciągłe uczenie się zasad funkcjonowania państwa socjalistycznego, jeśli mamy rozwinąć się pomyślnie, gdy w kapitalizmie wystarczy, jeśli obywatel robi swoje nie zaprzatając sobie głowy ideologią. Ale to chyba odrębny temat...

— Myślę, że poszukiwanie nowej formuły socjalizmu, zastanawianie się nad tym, jaki on powinien być obecnie jeszcze nie oznacza kryzysu. Ale jeszcze zanim przemyslimy na nowo całą problematykę reformowania jak już wiemy i reformującego się socjalizmu mo-

vodu dominujących negatywnych postaw i można nawet powiedzieć, że mają niezwykle silnie rozwinięty instynkt samobójczy, jak choćby Polacy w epoce saskiej. Jestem pesymistą w ocenie rodaków, tzn. ich zdolności postrzegania rzeczywistości społeczno-politycznej...

— Ograniczybym się do stwierdzenia, że w wielu polskich środowiskach ludzie, którzy prawidłowo i sprawnie rozumują w sferze życia osobistego czy zawodowego nagle przestawiają się na całkowicie irracjonalne myślenie w sprawach społeczno-politycznych, nie dostrzegając złożoności ich uwarunkowań. Jest to rzeczywiście bardzo groźne dla na-

tanie dzięki państwowej dotacji, to skarb państwa nam odbiera lub nie dopłaca w jakiejś innej dziedzinie...

— Otóż płacimy gorzką cenę za grzechy systemu nakazowo-rozdzielczego, lekceważącego prawa rynku, za szafowanie dotacjami, a w ostatnich latach płacenie tym, którzy głośniej krzyczą lub straszą zamiast tym, którzy ciężko i sumiennie pracują. Mści się też koniunkturalna propaganda wielu lat, która głosiła, iż władza socjalistyczna, to taka, która daje, zamiast wyjaśniać, że każda władza może dzielić tylko to, co wypracowała. Czy można się dziwić, że tymi właśnie metodami stwarzano podatny grunt

i ignorującego ekonomię socjalizmu, wytwarzającego bardzo groźne postawy roszczeniowe, metodami, które nieraz muszą budzić zastrzeżenia, to zgodzę się też, że wejście na właściwą drogę będzie sprzyjać właściwym ocenom i postawom.

— Porwolę sobie tu wtroczyć spostrzeżenie, które oburzy wielu Czytelników, że mogą niepokoić coraz częściej wystąpienia roszczeniowe ze strony OPZZ, które musi przecież być informowane o realiach ekonomicznych państwa. Wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby dwa albo więcej związków zaczęło się kłócić

klasyczną definicję prawdy, przeciwstawiając stosowanej dotychczas definicji koherencyjnej, polegającej na uznanie pewnych uwarunkowań już z góry za prawdziwe, nie wymagające dowodu, jak np. to, że socjalizm jest w założeniu lepszy, należy więc akceptować wszystkie posunięcia podejmowane w jego imię przez odpowiedzialne czynniki władzy.

— Jak widać, zgodnie „dołożyliśmy” dogmatyzmowi, czy jak kto woli — stalinizmowi, choć przyznam się, że ten drugi termin nie jest dla mnie do końca jasny, wskutek czego może się okazać „poręczny” dla antysocjalistycznej manipulacji, jako niezawodny „straszak”. Wypada nam więc zakończyć stwierdzeniem, że demokracja jest dobra na wszystko. Ale czy także na obsesję nacjonalistyczne, wyrażające się maniackim tropieniem narodowej tożsamości, która i tak sama rzuca się w oczy, ponieważ poczucia narodowej odrębności i wyjątkowości mamy w nadmiarze.

— Demokracja socjalizmu również w poruszony przez pana problematyce wprowadza nowe aspekty, jest ona bowiem poszukiwaniem socjalistycznej rzeczywistości, czyli jak, według jakich możliwości i predyspozycji tworzyć udoskonalony socjalizm. A przecież mamy w Polsce niezwykle trudne warunki we wszystkich możliwych dziedzinach i płaszczyznach życia. Otóż ja, nie tylko jako przewodniczący rady narodowej uważam, że demokracja, czyli zwiększenie udziału społeczeństwa we współzrządzeniu i kontrolach znacznie eliminuje szkodliwe iluzje i mity, doprowadzi do racjonalnego postrzegania rzeczywistości, a to już droga do rozwiązywania wielu problemów, w tym ekonomicznych. Nie tracę przy tym nadziei, iż prawowładna, konkretnie działająca i stanowiąca władza państwowa odegra w tym swoją rolę, zyskując sobie tak potrzebny autorytet. Myślę, że jesteśmy na tej drodze.

— I obyśmy w niej nie zeszli. A panu profesorowi dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Demokracja jest dobra na wszystko?

Dostrzegać prawdę o rzeczywistości

Rozmowa z prof. ANDRZEJEM FELIKSEM GRABSKIM, politologiem, przewodniczącym Rady Narodowej m. Łodzi.

żemy stwierdzić, że socjalizm niejako ex definitione skazany jest na demokrację, na zaspokajanie nieustannej dążności obywateli do poszerzania swoich praw i swojej aktywności, np. w dziedzinie społecznej kontroli. Istotnie pod tymi warunkami socjalizm może rozwinąć swoje dotychczas nie wyzyskane ogromne możliwości, również ekonomiczne.

— Nieraz już rozpędzaliśmy się w tym kierunku, ale zawsze pojawiali się lub na nowo organizowali różni hamulcowi socjalistycznej demokracji, która znów stawała się upragnioną wizją lub mrzonką, kwalifikowaną niekiedy jako „rewizjonizm”.

— Musimy jednak przyznać, że tym razem, tj. od kilku lat czyni się u nas dużo dla demokracji życia, choć odbywa się to nie bez rozmaitych oporów, tym razem jednak głównie wewnętrznych, ponieważ, co się dzieje na polu reformatorskim w Związku Radzieckim sprawia, iż nasz sąsiad i sojusznik stał się czynnikiem stymulującym polskie przemiany. To doprawdy wyjątkowo pomyślna koniunktura polityczna, z której trzeba korzystać w całej rozciągłości.

— Ja jednak od dość dawna zastanawiam się nad tym, że niektóre społeczeństwa, niezależnie od tego jak mają rząd, stoją na straconej pozycji z po-

skiego narodowego i państwowego bytu, dla polskiej Polski. Sądzę, że w tej sytuacji wyjątkowo odpowiedzialne zadania przypadają intelektualistom pełniącym funkcje publiczne, powinni oni wpływać na racjonalizację oglądu świata przez współobywateli.

— A w czym, pana zdaniem, wyraża się dziś ta irracjonalność?

— Choćby w poglądzie, iż reforma gospodarcza może być przeprowadzona bezboleśnie, bez przejściowych kosztów własnych, bez ograniczeń i wyrzeczeń. Wiara w ten mit charakteryzuje nie tylko przeciwników ustroju, ale występuje również po stronie jego zwolenników, a nawet nieraz po stronie przedstawicieli władzy.

— A gdzie nasza propaganda, która i wtedy, kiedy głosi prawdę okazuje się mniej skuteczną od najprymitywniejszej demagogii przeciwników?

— Istotnie, nie potrafimy przekonać ludzi, że w sferze ekonomicznej zachodzą pewne obiektywne procesy, niezależne od życzenia społeczeństw i woli rządzących, że np. relacja cen i płac, a więc koszty utrzymania i poziom życia są odbiciem stanu gospodarki w danym okresie. A wielu ludzi ciągle myśli kategoriami, że rząd ma, ale nie chce dać, co jest czystym absurdem.

— A jeśli jest coś względnie

w społeczeństwie pod irracjonalne myślenie o ekonomice, a także o ustroju?

— Chce pan powiedzieć, że reformujemy gospodarkę, reformujemy system polityczny i w krótkim czasie powstaną nowe społeczeństwo, myślenie racjonalistyczne i po obywatelsku. Technicznie to niewzruszonym optymizmem...

— Nie tartujmy, nie jest tak łatwo i prosto. Na nasze bowiem irracjonalne myślenie nakłada się stale trudna sytuacja bytowa społeczeństwa, warunki mieszkaniowe, po części zaopatrzeniowe i nie mamy dziś w gruncie rzeczy innego wyjścia, jak wykazać wyższość naszego ustroju w praktyce. Toteż jeszcze przez dłuższy czas skazani jesteśmy na szerzenie się irracjonalnego, życzeniowego oglądu rzeczywistości, który sprawia, iż cel upragniony wydaje się, po spełnieniu jedynie określonych warunków, np. określonego postulat polityczny, w zasięgu ręki, i że reforma mogłaby przynieść oczekiwane poprawę warunków życia z dnia na dzień, w co wierzy się po jednej i drugiej stronie barykady, choć nikt nie ma takiej cudownej recepty.

— Żadnego więc przysłówowego światła, żadnej nadziei?

— Skoro zgodziliśmy się, że niepokojące postawy społeczeństwa są poniekąd wytworem kalekiego, niedemokratycznego

w obietnicach wobec załóg i żądaniach wobec administracji dla skokietowania społeczeństwa, wykazania, kto jest dla niego „lepszym wujkiem”.

— Nie zamierzam tu wypowiadać się na temat OPZZ, ale bardzo często spotykam się z różnymi stronami postulatami i żądaniami nie do zaspokojenia pod względem ekonomicznym, sprzecznymi z duchem reformy, którą podobno wszyscy popierają, choć może nie wszyscy taką samą. W każdym razie uważam, że rząd powinno być stać na zajmowanie, kiedy to konieczne, stanowiska niepopularnego wobec nieuzasadnionych roszczeń ekonomicznych. Słowem — powinnismy mnożyć działania, które przyczyniają się do tego, by społeczeństwo zaczęło adekwatnie postrzegać rzeczywistość, a przestało oddawać się niebezpiecznym iluzjom.

— Postrzegać rzeczywistość adekwatnie, to znaczy chyba znać prawdę, a prawda to przecież nie innego, jak zgodność myśli z rzeczywistością, według elementarnej definicji logicznej. Ale sceptyk powie: działy, że trzeba by tę rzeczywistość wpiąć po prostu, zanim się zawyrokuje, czy myśl jest prawdziwa, można więc łatwo wplątać się w błędne koło...

— Dobrze, że pan przytoczył

Z tej ziemi

Święty spokój w bagnie niemożności

1.

Ludwik Krzywicki pisał w 1897 roku: „Otocza nas zewsząd przeszłość.”

Nasze zwyczaje i uprzedzenia, zasady i wierzenia, uczucia i temperament, w dalszym ciągu instytucje polityczne i prawne, poglądy moralne i estetyczne, w końcu nasze systemy filozoficzne, wszystko to w rozwoju dziejowym tworzy jedną zwartą kategorię — podłoża historycznego.

Podłoże owo powstało w ciągu wieków: jak w archiwum, każda epoka pozostawia tam coś w spadku. Nawet czasy bardzo odległe istnieją wciąż jeszcze jako przeżytki na sferze zwyczajów naszych i przesądów. Dzień wczorajszymi występuje w całej rozciągłości, pęta nasze ruchy, powstrzymuje nasze dążenia, podkłada pod nasz dzisiejszy układ stosunków społecznych. Żyjemy otoczeni wiekami ubiegłymi i skłopotami. W naszym własnym jestestwie, w naszej jaźni wewnętrznej płaczą się nieci, zadzierżgnięte tam w duszy nieznanymi pragnieniami, gdybyśmy zechcieli zanurzyć głębiej czynny swoje codzienne i pociąg, gdybyśmy poddali rozbirowi uprzedzenia, myśli i uczucia lub rozprzeczili się we własnym otoczeniu i zapuścili o początek zwyczajów i norm postępowania, to zrozumielibyśmy, jak dalece rzadziły się nie własnym rozumem, lecz rozumem przodków. Cokol-

wiek twierdzono by o naszej niezależności, jesteśmy niewolnikami działości i pradziadów...

Jak bardzo współcześnie brzmią te słowa napisane przed 91 laty. Brzmiały współcześnie, gdyż są prawdziwe, odzwierciedlają prawdę uniwersalną. Odnoszą się zarówno do tego, co w przeszłości jest złe i dobre. Nakazują zrywać z tym, co złego bierze się z przeszłości i rozwijać to, co w tej przeszłości było dobre. Słowa Ludwika Krzywickiego przypomniały mi się, gdy zacząłem zapoznawać się z pierwszymi materiałami X plenarnego posiedzenia KC PZPR. Jesteśmy właśnie w takim momencie, kiedy trzeba bardzo wnikliwie i sumiennie ocenić nasze historyczne obciążenia i śmiało odrzucić to wszystko, co w tej przeszłości było złe. A dokonanie tego trzeba w imię dalszego rozwoju socjalizmu, jego radykalnej przebudowy. Ani to łatwe, ani proste.

2.

Tu i ówdzie zaczynają pojawiać się głosy, żeby z oceną przeszłości być raczej ostrożnym, gdyż jest to czynność wielce niebezpieczna. Dość już tych rozliczeń — powiadają niektórzy — bo rodzi to silne emocje, dochodzi do konfliktów i może się okazać, że mamy wielkie luki w naszej przeszłości, których nie będzie czym zapłacić. Inni obawiają się, że ludzie zaczną domagać się ra-

chunku sprawiedliwości od tych i tamtych, którzy w przeszłości dzierżyli różne szczeble władzy oraz w tym i tamtym nieliczo narozrabiali. W listach do redakcji pojawiają się przeróżne żądania i propozycje. Czytelnik A.B. z Kołobrzegu domaga się na przykład, aby dotychczasowa Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce przekształcić w Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich i Stalnowskich w Polsce i na Polakach, co uważam za poważne nieporozumienie.

W tym miejscu sądzę, że będzie nie od rzeczy przytoczyć słowa Wojciecha Jaruzelskiego z zagajania obrad X posiedzenia KC PZPR.

„Będziemy karczować wszystkie pozostałości stalinizmu. Potępienie zbrodni, godne upamiętnienie ich ofiar, przezwyciężanie wszystkiego co sprzeczne z humanistycznym i demokratycznym — przesłaniem naszej idej — to nieustający nakaz i polityczny, i moralny”.

Takiemu zapewnieniu można tylko przyklasnąć i wyrazić nadzieję, że nie skończy się to li tylko na deklaracji. To byłaby odpowiedź tym wszystkim, którzy w swojej niecierpliwości domagają się wymierzenia sprawiedliwości minionym czasom. Czas ten zostały już osądzone. Teraz chodzi o to, aby pozbyć się ich śladów w naszym sposobie myślenia. I to nie będzie takie łatwe.

Publicyści dzielą się, że dochodzi do ostrego konfliktu między Węgrami a Rumunami, że konflikt na tle narodowościowym wybuchają nie tylko w Armenii i Azerbejdżanie, ale również na Litwie, Łotwie i w Estonii, że w NRD zakazuje się rozpowszechniania radzieckiego pisma „Sputnik” i że zdjęto tam z ekranów kilka radzieckich filmów. Można im zażedykować tylko cytowane słowa Ludwika Krzywickiego: „Dzień wczorajszymi występuje w całej

rozciągłości, pęta nasze ruchy, powstrzymuje nasze dążenia, podkłada pod nasz dzisiejszy układ stosunków społecznych”. Trzeba pamiętać, że w życiu społecznym tak jak w przyrodzie, każda akcja wywołuje reakcję. Tyle tylko, że ta reakcja daje znać o sobie niekiedy po długich latach i w momentach często mało spodziewanych. I na nic tu się nie zdadzą przemilczenia, do których zdaje się nas ten i ów namawiać. Przeciwnie, pewne rzeczy trzeba sobie do końca powiedzieć!

3.

Na XVI plenarnym posiedzeniu CK SD stwierdzono między innymi, że „reformy systemu politycznego i gospodarczego musi przebiegać równolegle, ale obecnie bariera reform gospodarczych tkwi w systemie politycznym”. Zgadzałem się z takim postawieniem sprawy i pisałem już, że myślą się ci, którzy uważają, że Polakom trzeba przede wszystkim dać dobre życie, a przestaną rozbrajać i domagać się czegośkolwiek. Przypomnę tylko, że o pozycja narodzila się w epoce „drugiej Polski”, którą chciał nas zbawić Edward Giersek, kiedy jeszcze półki w sklepach pełne były tak towarów krajowych, jak i importowanych. Nie można — zgodnie z dyalektiką — odrzucać polityki ekonomicznej, trzeba stale widzieć ich wzajemny związek. Dlatego właśnie reformy polityczne muszą iść równolegle z reformami ekonomicznymi, a niekiedy je nawet wyprzedzać. X Plenum KC PZPR zapowiada realizację takiego związku w praktyce, ale czy praktyka potwierdzi to, co zapowiada się w teorii. Pamiętam, że wiele obiecywałem sobie po uchwaleniu VI plenarnego posiedzenia KC PZPR i pozostałymi przy nadziejach. Choć pozostanę również, że bez VI Plenum nie byłoby X Plenum KC PZPR i rzecz nie tylko w kolejności ich numerowa-

nia, a w meritum proponowanych spraw.

4.

Rozumiem obawy ludzi, którzy patrzą z niepokojem na rozwój różnych prywatnych interesów. Przedsiębiorcy mają się bowiem coraz lepiej, a wielu ludzi ciężkiej pracy raczej biedę kłopot. Z drugiej strony trochę mnie te obawy też niepokoją. Spotykam się bowiem coraz częściej z ciętymi do monopolizacji życia, do przeciętności, do niewychylania się. A nam potrzeba przedsiębiorczości, inicjatywy w każdej dziedzinie. W gospodarce przede wszystkim, ale przecież nie tylko.

Niektórzy mają za złe lansowanie tezy o równouprawnieniu wszystkich trzech sektorów gospodarki: państwowego, społecznego i prywatnego. Te sektory są realną rzeczywistością i tak je trzeba traktować. Moim zdaniem wszakże problem sprowadza się nie tylko do formy własności, jego istota zawiera się przede wszystkim w sposobie zarządzania. I pod tym względem rzeczywistość sektor prywatny może okazać się uprzywilejowany, jeśli nie brnąć pod uwagę bariery podatkowej. Ale podatki równie skutecznie, a może jeszcze bardziej ograniczają państwową i przedsiębiorczą własność państwową. Sposób zarządzania własnością państwową jest najbardziej skrepowany, gdyż ograniczają go liczne przepisy, traktujące zarządzających jako podejrzanych o wszelkie możliwe machlojki, liczne kontrole powodowane tymi samymi podejrzeniami, ograniczenia podatkowe, materiałowe, w zatrudnieniu, bankowe i licho wie jeszcze jakie. A tam przede wszystkim potrzeba inicjatywy, gospodarności i przedsiębiorczości. Czas już zdjąć gorsety z przedsiębiorstw państwowych!

Nasze rządy deklarują ten-

dencje i intencje reformatorskie, ale za nie nie chcą do końca oddać swoich centralistycznych uprawnień. W myśli tych uprawnień pompa ssąca centrum zabiera z przemysłu i bogatszych regionów kraju wszystko, co tylko zabrać można, albo jeszcze więcej. Innym natomiast — słabszym — daje się, bo nie są w stanie sami zarobić na siebie. Powstaje zatem takie przekonanie, że nie opłaca się pokazać, co się naprawdę potrafi, bo i tak zabiorą. Lepiej być średniakiem, to jeszcze się dostanie pieniędzy, aby przypadkiem nie spalić. Nie sprzyja to rozwojowi przedsiębiorczości.

Rzecz polega bowiem na tym, aby każdy — niezależnie od formy własności — kto rozwijał przedsiębiorczość, widział w tym swój interes. Aby nie premiowano tych, którzy chcą mieć święty spokój tkwiąc w bagnie niemożności i przeciętności. Jak do tej pory ciągle opłaca się robić mało, być posłusznym i potakiwać, bo niższym się nie ryzykuje. Święty spokój zapewniony. A nie dokonamy nigdy żadnego postępu, jeśli nie zaczniemy premiować ludzi przedsiębiorczych, dając im jednocześnie zarobić. Niech się bogacą dzięki swej pracy i inicjatywie! Zwalczajmy natomiast ewanikałów, którzy zerują — skutecznie kreszą — na naszej nieumiejętności i bezradności, a czasem i głupocie.

Więcej odwagi, Mości Panowie oraz Drodzy Towarzysze!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

puławy fujarki, a milicjant z drogówki odprawiać będzie na jezdni pielgrzymkę do Częstochowy, drugi zaś wyciszać żałobnych czcicieli piwa, opuszczających z ludową pieśnią na ustach pobliską kawiarnię „Staromiejską”.

Wydawało się, iż z biegiem lat obraz ten stanie się powszechnością wtopioną w rytm życia i w krajobraz miasta. Alłści wbrew frazesowi o ludzkiej pamięci, w Pabianicach pamięć ludzka nie okazała się zawodna. Im bliżej było do 70 rocznicy odzyskania niepodległości, tym bardziej ożywały wspomnienia świadków narodzin wolnej Polski, i tych co urodzili się w wolności. Ci ostatni znakomicie pamiętali jeszcze jeden pomnik, który stał przed kościołem św. Mateusza.

W „Życiu Pabianic” nr 45 z 10 listopada 1988 roku ukazało się sporo materiału o latach dobijania się do niepodległości. Pan Michał Lipczyński wspominał młodzież gimnazjalną, która rozbijała Niemców i aresztowała niemieckiego burmistrza, natomiast z pamiętnika skauta, druha Edmunda Maciejewskiego, byłego hufcowego i legionisty, można się było dowiedzieć, jak Wojskowe Pogotowie Harcerskie ostrzeliwało na pabianickim dworcu niemieckie pociągi, zatrzymywało je i zdobywało broń.

Największą furorę zrobiło archiwalne zdjęcie, eksponowane na okolicznościowej wystawie w Muzeum m. Pabianic.

Jego reprodukcję, wykonaną przez najstarszego stażem dziennikarza „ŻP”, Stanisława Czekalskiego, umieszczono na pierwszej stronie gazety i w redakcji rozdzwoniły się telefony, po czym nadeszły pierwsze listy. Owa fotografia przedstawiała bowiem pomnik Legionisty, który hitlerowcy wysadzili w powietrze jesienią 1939 r. Aby jednak w pełni zrozumieć tak żywy oddźwięk, spontaniczność i zainteresowanie społeczne, trzeba na krótko wrócić do historii.

Otóż pragnienie wybić się na niepodległość było w Pabianicach równie silne, jak w innych miastach pod zaborem. Powstała tutaj Polska Macierz Szkolna, Dom Ludowy, pojawili się skauci, pierwsze mundury „Strzelców” i „Sokołów”, działały PPS, NZR i POW, widać było sztandary z Białym Orłem, w kościołach śpiewano „Boże coś Polskę”. Dzięki takim ludziom, jak Stanisław Peczkowski, Jan Waligórski i dr Witold Eichler, już w sierpniu 1914 r. tworzy się Komitet Pogotowia Wojennego, a 40 młodych robotników i gimnazjalistów przedziera się przez kordon graniczny i wstępuje do Legionów. A w październiku tegoż roku pojawiają się w mieście pierwsi legionści Józefa Piłsudskiego, wśród których jest pabianiczanie Ochman.

Kiedy Muzeum zleciło red. Stanisławowi Czekalskiemu dokumentację fotograficzną nagrobków poległych legionistów i żołnierzy WP z tamtych lat, nie spodziewał się chyba, że czeka go tyle pracy. Ustalono bowiem 73 nazwiska pabianiczanie poległych w latach 1914–1920. Wiele prochów nie można było dotąd sprowadzić do Pabianic, a nazwisk wciąż przybywa. Pośród nich orleń, niemal dzieci: Bolesław Jankowski, harcerz lat 17, ranny w bitwie pod Paprocą, umiera w szpitalu w 1922 r., Józef Jaros, harcerz, lat 17, ranny pod Nowogródkiem, zmarły w niewoli. I starsi: Teodojusz Biskupski, legionista, lat 22, ginie w bitwie pod Korostyniem, Stanisław Duraj, legionista, Józef Krajewski, legionista, zmarły w szpitalu z ran odniesionych na Wileńszczyźnie, Jan Luter, legionista z I Brygady, który zginął w 1915 r. Ale jak zginął?

Starsi pabianiczanie, którzy znali Jana Lutra, patrząc na zachowaną fotografię byli pewni, iż twarz jego ludzko przypomina twarz Legionisty z pomnika, który stał na skwerze przed kościołem św. Mateusza. Rozmawiam więc z panią Ireną Salacińską, najbliższą krewną Jana Lutra. Pani Irena, której ojciec był huzarem w carskim wojsku, mąż zaś ułanem w wojsku polskim, nie może potwierdzić, że artysta rzeźbiarz korzystał z modelu fotograficznego. Pamięta za to, że Janek otrzymał od Piłsudskiego srebrną papierosnicę z dedykacją. Jan Luter miał dwadzieścia pięć lat, gdy dostał się do niewoli. Zmarł w drodze do kolejnego postoju, pędzony bosą i w samej bieliznie.

Do tej samej rodziny weszła red. Grażyna Salacińska z „Życia Pabianic”.

Miasto poświęciło Ojczyźnie wielu swych synów, nie dziwny się przeto, że w Pabianicach szybko powstał oddział Związku Legionistów, a także Związek Rezerwistów i Związek Hallerczyków, i że równie szybko zawiązał się komitet budowy pomnika Legionisty, wspierany przez całe społeczeństwo: robotników, młodzież, kupców i przedstawicieli średniego przemysłu. 2 grudnia 1928 r. ukazała się „Jedynodniówka Legionowa”, bezpłatny dodatek do „Gazety Pabianickiej” (taka była pisownia), wydany z okazji poświęcenia sztandaru Związku Legionistów. W dodatku opublikowano m.in. zdjęcie projektu pomnika Legionisty, autorstwa Mieczysława Lubelskiego, tego samego artysty, który wyrzeźbił pomnik Tadeusza Kościuszki w Łodzi.

Krąży słuchy, jakoby pomnik stał się później przedmiotem sporu między kościołem i władzami, że to niby stał tyłem do głównego ołtarza. Mówi się też o niespójności społeczeństwa, którego znaczną część stanowili Niemcy i Żydzi. Jest w tym część prawdy, ale sam pomnik nie wzbudzał kontrowersji, mógł raczej jedynie zatwardziać Niemców. I dlatego też 11 listopada 1928 r., w X rocznicę odzyskania niepodległości, wmurowano kamień węgielny, który poświęcił ksiądz Leopold Petrzyk, przy czym trzecią cegłę położył proboszcz parafii św. Mateusza, czwartą zaś rabin Alter.

Odlew sylwetki Legionisty wykonano w pabianickiej Szkole Rzemiosł. 12 listopada 1933 r. na placu gen. Dąbrowskiego zgromadziły się tłumy pabianiczanie. Jedną z porannych mszy celebrował ks. biskup Tomczak, a w samo południe przed kościołem rozbrzmiewały fanfary, odpowiadając im fanfary z dachu Zamku, następuje odsłonięcie pomnika, spływają wieńce i kwiaty.

Legionista stanął na trzymetrowym cokole z piaskowca, na którym wyryto nazwiska poległych pabianiczanie.

Od strony centralnej wmurowana była mała brązowa tablica z popiersiem Józefa Piłsudskiego.

Symbolem starych Pabianic był i jest nadal herb z dwiema koronami u góry i trzecią u dołu. Jest to sławny herb Aarona, uosabiający trzech królów, którym pieczętowała się Kapituła Krakowska, od 1086 r. właścicielka dóbr pabianickich.

W 1933 r. miastu przybył nowy symbol — Pomnik Niepodległości. Patrzył z wysokości na miasto i przypominał tych, często bezimiennych, którzy oddali życie, aby stała się Polska.

15 listopada 1939 r. symbol ów zrównano z ziemią. Przeszedł istnieć fizycznie, ale pozostał po nim bolesna rana i pamięć.

Stary pabianiczanie, pan Henryk Starzyński, przed czterema laty napisał list w sprawie „Legiona”, jak nazywano potocznie pomnik, i czekał na odzwilż, aby list gdzieś opublikować. List ten z uznanymi za konieczne przez redakcję skrótami wydrukowała „Życie Pabianic”. Henryk Starzyński, którego ojciec od 16 roku

życia był przy Piłsudskim, ma już akurat mieszkanie, lecz nie żałuje czasu na rozmowę. Po latach milczenia człowiek pragnie wyrzucić z siebie wszystko, cały ten gorzki osad, co nagromadził się w sercu. Mówi więc ze łzą w oku, że to były wspaniałe chwile, bo przecież to, co nie udało się Kościuszce, udało się Piłsudskiemu... A Legionista na cokole to był zwykły żołnierz, szeregowiec w maciejówce, w sznurowanych butach, z owijaczami na łydkach. Opinał go pas z czterema ładownicami, w prawej ręce trzymał karabin Mauser, a lewą nogą deptał dwugłowego carskiego orła, i te były zwiasty na zewnątrz cokołu. Twarz żołnierza była spokojna, uśmiechnięta, wyrażała radość z dobrze spełnionego żołnierskiego obowiązku... Wzruszenie dawało w gardle, rozmówca milknie na chwilę...

Pamięta, że Niemcy nie pozwalali tam podejść, ale podczas detonowania i tak było wielu ludzi. Postać legionisty i tablica nie rozpadły się, cokolwiek jednak legł w gruzach, podobnie jak i jego podstawa w kształcie dwóch kwadratów brył przypominających schody. A Niemcy potrafili torturować nie tylko ciała, ale i dusze. Prowadzili swego rodzaju wojnę psychologiczną, aby załamać pabianiczanie, i przez miesiąc nie sprzątali powalonego pomnika. Ludzie zaciskali zęby, plakali, zbierali na pamięć kawałki piaskowca, choć można było to przypisać życzli. Pan Henryk Starzyński także zdobył cenny odłamek, który potem gdzieś mu się zawierzył...

Henryk Starzyński uważa, że Legionista winien wrócić do Pabianic, ponieważ jest symbolem ofiarności i bohaterstwa jednego pokolenia młodych Polaków, którzy bili się w czterech wojnach: pierwszej światowej, tej w 1920 roku, potem zaś w wojnie obronnej oraz pod Lenino i pod Monte Cassino. W swoim liście napisał, że oprócz kościołów, ulic i nowych osiedli trzeba zostawić przyszłym pokoleniom także ten

pomnik, aby pamiętały, że „Oni umarli, abyśmy my mogli żyć”. Pan Starzyński twierdzi, iż winny to sobie wzięli od serca i władze miejskie, i Kościół, bo chodzi tutaj o sprawę wspólną — o pamięć narodową Polaków.

Tego samego zdania jest pan Zenon Stwiliński, rodowity pabianiczanie, który sądzi, że na ten szlachetny cel nikt nie poskapi grosza. Można więc z góry założyć, że społeczeństwo nie będzie wyciągać ręki po środki finansowe do władz.

Z kolei pan Zdzisław Galus wspomina, że gdy rozbity pomnik leżał na skwerze, jakaś patriotyczna polska ręka przez wiele dni kładła tam ukradkiem białe-czerwone wianki kwiatów. Pan Galus gotów jest pomóc w odbudowie tak finansowo, jak i w pracach budowlanych.

A gwoździł ścisłości historycznej należy zaznaczyć, iż sprawa nie pojawiła się dopiero w 1988 r. Rzecz bowiem w tym, że brązowa tabliczka głowy marszałka Józefa Piłsudskiego została Niemcom wykradziona i przechowywana z narażeniem życia całą okupację. W Polsce Ludowej też zresztą, zwłaszcza w okresie stalinizmu. Ale po każdym zakręceniu historycznym i przy każdej lekkiej odwilży problem odzywał. W 1980 r. poszła fama, że figura Legionisty spoczywa w podziemiach Łaźni Miejskiej.

Okazało się, że nie ma tam podziemi. Nie czekając na kolejny fałszywy sygnał, działacze „Solidarności” za aprobatą władz parafialnych umieścili osłoną plakietkę na murze kościoła, mniej więcej na wysokości kolumny z posązką św. Floriana, wzniesionej blisko parkanu w drugiej połowie XIX w., prawdopodobnie na pamiątkę jednego z pożarów w mieście. No i historia jakby się powtórzyła — po stanie wojennym słowa Marszałka znikła. Zapachniało prowokacją, winnych nie ma, a milicja od lat poszukuje fanatycznego złoździej. Można by przywołać na pomoc ducha detektywa Philippa Marlowe’a, lecz byłby to dyshonor dla milicji, lepiej więc uznać, że nie ma sprawy. Bo „Solidarność” niby nie istnieje, ale Lech Wałęsa jakoś odnalazł się w telewizji, a na murze kościoła św. Mateusza znowu pojawił się Józef Piłsudski. Odłana z brązu kopia, ściśle według oryginału. U podnóża zielone deszczółki w formie krzyża, gdzie w najgłębszy mróz leżą narcyza świeżych kwiatów.

No dobrze, ale czy Marszałek musi błąkać się po zakamarkach, skwerach i murach?

Pan Zbigniew Dychto, przewodniczący Rady Miejskiej PRON, oświadcza, że trzeba szybko powołać społeczny komitet budowy, otworzyć konto w banku i odbudować ten Pomnik Niepodległości przedstawiający żołnierza legionowego. Szkoła tylko w tym, że kiedyś ulica Zamkowa (dziś Armii Czerwonej) była wąziutka i pomnik mógł stać na obszernej skwerze, a teraz znalazłby się na chodniku. Można jednak upamiętnić to miejsce zwykłym polnym kamieniem, a odbudowany pomnik zlokalizować gdzie indziej.

Słuszna uwaga. A poza tym jakby to wyglądało, gdyby przy ul. Armii Czerwonej stał

obok siebie w jednym szeregu święty Florian, Legionista i monument z pl. Obrońców Stalingradu? Dobrze, że stanowisko PRON jest jasne.

9 czerwca 1920 r. w Jakszyczach pod Mińskiem zginął Kazimierz Dychto, szeregowiec 8 komp., 17 pp, lat 21...

We wrześniu 1988 r. dyrekcja Muzeum skierowała do Miejskiej Rady Narodowej pismo w sprawie odbudowy Pomnika Niepodległości. Przewodniczący MRN, mgr Marek Dalkowski odpowiedział, że postulat jest słuszny, ale że kilkanaście metrów dalej stoi pomnik bojowników o wyzwolenie społeczne i narodowe, nie wskazana jest więc budowa drugiego pomnika. W zamian Prezydium MRN proponuje wzniesienie na pl. Zwycięstwa wspólnego pomnika ku czci wszystkich poległych w walce o wolność i niepodległość.

Prezydium, które nie ma prawa decydować w imieniu całej Rady Narodowej, zapomniało, że proponowany przez PRON pomnik już istnieje — na pl. Obrońców Stalingradu. Po drugie zaś, to gdzie jest ów pl. Zwycięstwa, którego nie ma jeszcze na mapie miasta? Gdzieś pod lasem, na peryferiach dalekiego Buzaju, który stał się już wspaniałą betonową pustynią. Ta dzielnica nie potrzebuje dla ozdoby defiladowej pustyni, lecz parku, choćby takiego w stanie dziczy, który można zagospodarować w przyłączonym do miasta Sereczynie.

Pani dr Wanda Lelonek, której dziadek był legionistą, jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Pabianic miała więcej szczęścia. Kiedy Towarzystwo zaproponowało lokalizację pomnika Legionisty w parku im. Juliusza Słowackiego, kierownictwo MRN wyraziło zgodę na odbudowę, na powołanie społecznego komitetu budowy i otwarcie konta, z zaznaczeniem, że wszelkie koszty pokryje społeczeństwo. Nie zgodzono się natomiast na lokalizację.

Przy okazji padł wniosek, aby park Juliusza Słowackiego przemianować na park Niepodległości, chociaż mamy już park Wolności, zwany popularnie „Strzelnicą”. W latach 70. XIX wieku pastor gminy ewangelickiej Wilhelm Zimmer przekazał własne grunty na publiczny ogród spacerowy, który w latach 30. naszego wieku powiększono o ogród magistracki. Podczas okupacji park był dostępny tylko dla Niemców i nazywał się Pastor Zimmer Park, który po wyzwoleniu przybrał imię Juliusza Słowackiego. Skoro więc pastor Zimmer przyjął w gościnę wieszczą Juliusza, to czemu Słowacki, bez zmian w nazewnictwie, ma nie przyjąć starego wiarusa z legionów Dziada?

No tak, ale już słyszę głosy czarnych prognostyków o przejawach fanatyzmu i wiecach u stóp pomnika Legionisty. Dobrze, ale jeśli nawet do czegoś takiego dojdzie, to może nie będzie to fanatyzm, tylko objawy solidarności pabianiczanie, ich jakości, patriotyzmu i poczucia dumy narodowej? Czy od tego zawał się ustrój, padnie urząd prezydenta i pierwszego sekretarza? Nie, wprost przeciwnie! Z rozmów, jakie prowadziłem z działaczami społecznymi, wynika, że tak prezydent Radosław Januszkiewicz, jak i sekretarz KM PZPR Bogdan Kunka, należą do ludzi, których nie przywieziono tu w łęczkach. Są to pabianiczanie, którzy bez względu na przeciwności losu i kłopoty najprzeróżniejszej natury zawsze starali się zrobić coś dobrego dla miasta.

Sęk w tym, że niekiedy zapominamy, skąd przyszliśmy, gdzie żyjemy i co komu zawdzięczamy. Wbrew przepowiadaniom twarogogłowych, którzy nie mogą wyrwać się ze stalinowskiego gorsetu, w mieście odsłonięto pomnik ku czci Szarych Szeregów i Armii Krajowej i Pabianice nie stały się przez to zaplulym karlem reakcji.

Nie jestem szowinistą. Jestem pisarzem, który żyje w tym mieście, w tym mieście pomieszcza akcję swoich powieści, z których żadna nie jest dworskim panegirycznym ani lukrowaną bajką dla niewiniątek, dzięki czemu ciężar laurów na pomniku raczej mi nie grozi. Wiem natomiast, że Pabianice sroce spod ogona nie wypadły. Zapisane na kartach historii, odznaczające Orderem Sztandaru Pracy I kl., są ośrodkiem przemysłowym większym od dziesiątków miast wojewódzkich w Polsce. Ale wiem także, że wśród rodowitych pabianiczanie nie ma takiej rodziny, w której ktoś z bliższych lub dalszych krewnych nie walczyłby o Polskę w latach 1914–1920. I dlatego jestem całym sercem za powrotem Legionisty do Pabianic. Niech stanie blisko miejsca swojej pierwotnej warty — w parku Juliusza Słowackiego. Wierzę, że dzięki osobistemu zaangażowaniu pani Wandy Lelonek, panów Zbigniewa Dychto i Marka Dalkowskiego realizacja tego szczytnego celu zakończy się szybko i pomyślnie. Istotne, że jest już obywatelski komitet budowy i społeczne konto, aby pan Henryk Starzyński nie musiał przyjmować datków pieniężnych od sąsiadów. A jeśli zaizoluje potrzeba, zorganizuje się kwesty uliczne.

Tę szlachetną akcję sprzyja także red. naczelny „Życia Pabianic”, pan Janusz Krajewski. A red. Stanisław Czekalski ma dla wszystkich zainteresowanych pomyślną wiadomość. Otóż krewni rzeźbiarza M. Lubelskiego przekazali telefonicznie informację, iż kompletna dokumentacja pomnika Legionisty znajduje się w Londynie i nie ma przeszkód, aby wrócić do Pabianic. Poza tym do redakcji zgłaszają się osoby prywatne i zakłady pracy, oferując znaczne kwoty pieniężne. Cieszy także obywatelska postawa rzemieślników zatrudnionych w Rzemieślniczej Spółdzielni Remontowo-Budowlanej, którzy zadeklarowali na piśmie nie tylko swój udział finansowy, ale przede wszystkim pracę przy przygotowaniu terenu, roboty budowlane i montażowe.

Kiedy ściga się ludobójców, w ich cieniu kryją się mordercy pomników. Życia ludzkiego nie da się przywrócić, lecz pomnik zawsze można odtworzyć. Zbliża się 50 rocznica wybuchu II wojny światowej, która dla Pabianic oznacza także tragiczną rocznicę śmierci pomnika Legionisty. Jego odrodzenie byłoby nie tylko symbolem zmartwychwstania Feniksa z popiołów. Stałoby się dowodem, że Polaków można pognać, zburzyć im pomniki i domy, lecz nie sposób zniszczyć polskości, wiary i pamięci, ducha narodowego.

RYSZARD BINKOWSKI



Szopki polskie

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Gdy wychodzi w pole, jest tylko rolnikiem. Tak, jak sąsiedzi, orze, sieje, grabi, kosi... Nie wstydzi się tej roboty — brudnej, znojącej, bo z ziemi wyrósł i jej zawdzięcza wszystko, co ma. Ale kiedy zmia, w wieczór bierze w rękę lipo- wy kłosek, a w drugą — dłu- to, albo ostry nóż, staje się kimś więcej niż gospodarzem na dziesięciu hektarach, niż in- dywidualnym producentem pło- dów rolnych.

Julian Brzozowski nie ma dy- plomów, tytułów, zaświadczeń. Nie potrzebuje ich. Wystarcza mu ręce. Nie pobierał przecież nauk u słynnych profesorów. Jego akademia były nadbuz- rzańskie łaki, przydrożne kap- liczki, malowane chłopięce cha- ty. Tam odkrył i doskonalił swój talent.

Rzeźbić zaczął już jako mło- dy chłopak. Dla fantazji — mó- wi. Dla domowej dekoracji. Najpierw patrzył, nysiał, wybora- rał sobie, a potem brał ko- zik i tak długo ciął, aż prosty kawałek drewna zmienił się w ptaka, krowę, czy ludzką postać. Ani się spostrzegł, gdy ta zabawa zrodziła pasję, której poświęcał prawie każdą wolną od pracy w polu chwilę. Z ca- łej parafii przychodzili zobaczyć jego figurki, cmokali z uzna- niem, dziwili się, że taki zdol- ny, a jeszcze na wsi siedzi.

Trzymał wszystko. Zastawił jedną izbę, drugą, komórkę... Pokazać by to gdzieś — pomy- ślał w końcu, bo już i ludzie z dalszych stron się zwiędzieli, a w domu ciasno, że nie było się gdzie ruszyć. Może w War- szawie jaką wystawę zrobić? Pojechał. Na próżno: nie ma

warunków, pieniędzy, zaintere- sowania... Nie uwierzył. Ale trudno — prosić więcej nie bę- dzie. Nie chce miasto ludowej sztuki u siebie, to niech przy- jeżdża oglądać ją na wies. I postanowił, że sam sobie zrobi wystawę w muzeum, które... zbuduje obok domu, w Sromo- wie.

Z początku łowickim urzędni- kom nie bardzo chciało się to pomieścić w głowach. Prywat- ne muzeum, z prywatnej inic- jatywy?... Po co? Dla kogo? Po- dejrzana sprawa. Brzozowski nie dawał jednak za wygraną i wreszcie wydebił od nich ze- zwolenie na budowę oraz sto- tysięcy złotych pożyczki. Tro- che mało, bo więcej jak dru- gie tyle musiał wyłożyć z wła- snej kieszeni. Choć dobre i tyle.

W urzędzie ciągle nie mogli zrozumieć. Wile by pan sobie za to wystawił albo porządne auto kupił — drwili. Ale jak było uroczyste otwarcie, przy- jechali. Byli też władze z po- wiatu, z województwa... Podo- bało się. Nasze muzeum — mó- wiły później, Gości przywoziły.

Pierwszy pawilon zbudował Brzozowski w siedemdziesiątym drugim. Murowany, solidny, dwadzieścia dwa na osiem met- rów. Wstawił doń szopkę, ło- wickie wesele i inne scenki. Wszystkie ruchome, bo figurki tak robił, żeby do silników pod- łączyć. W domu nie mogło być o tym mowy.

Drugi — w osiemdziesiątym pierwszym. Ale pożyczki już nie dostał, bo — powiedzieli — tamta jeszcze nie spłacona. Więc tylko z pracy rąk. Ciężko to

przyszło. Dał jednak jakoś ra- dę i jakby na przekór trudno- ściom od razu też zaczął przy- mierzać się do trzeciego, dwa razy większego od tamtych z zamysłem, żeby były w nim bryczki, wozy, sanie... Nie mógł spokojnie patrzeć, jak rozlatu- ją się gdzieś na podwórkach, w szopach, za stodołami. Nie- które jeszcze z zeszłego wieku, nikomu już niepotrzebne. Jeź- dził po okolicy i odkupywał, bo chłop darmo nie da. Lepiej niech się zżmuruje — słyszał nieraz. Dziwno mu było, że ze wsi, a tak tradycję nie szanują. Ale czy to dziwota — my- ślał zaraz — kiedy z władzami tak samo się gada?

Weźmy chociażby ten par- king...

Dwa lata starał się, tłuma- czył, wyjaśniał, że latem to i po kilka autokarów na dzień przyjeżdża — z młodzieżą szko- lną, z turystami z zagranicy... Wstyd, żeby nie miały gdzie stanąć a i sąsiedzi ciągle z pretensjami — że drogie tara- suny. Dwa lata. Dopiero jak sam plac kupił za pół miliona, to urząd łaskawie dał asfalt, sprzął i ludzi do roboty. A co to za łaska, kiedy parking tuż przy sklepie i teraz gdy z do- stawą podjadą, to pod same drzwi, wygodnie, bez kłopotu.

I tak ze wszystkim: pomocy prawie żadnej, bo a to przepi- sy, a to brak środków, ludzi... Kto chce uderzyć psa, kij za- wsze znajdzie. Ale tak, jak do- pieknił mu w tym roku, to już człowiek krew może zalać ze złości!

Wybrał go prezesem skier- niewickiego oddziału Stowarzy-

szenia Twórców Ludowych, że niby taki znany, ceniony, za- służony. Zgodził się, choć po- prawdzie to tylko jeszcze je- den obowiązek, bo przecież w pole normalnie wyjść trzeba, do miasta jechać coś załatwić, kupić, wycieczki oprowadzić... Dobrze, że rodzina pomaga. Ale nie o to chodzi, a — że jak już został tym prezesem, to — my- ślał — łatwiej będzie, więcej uratuje. Sprowadził raz z ca- łej okolicy takich, co to na skrzypkach stare nuty jeszcze grać umieją, przyspiewek nie zapomnieli, przy kołowrotku siada, łowicki pastak utkają... Starsi przeważnie, bo młodym nie to dzisiaj w głowie. Młodzi wstydzą się wsi. I na ten dzień umówił też ekipę ze skiernie- wickiego domu kultury — z kamerą i magnetowidem Zapis żeby zrobić, bo jak starzy po- wymierają — a coraz ich mniej przecież — to już ślad żaden nie zostanie. Nakreślił kasę — trzy godziny. Prawdziwy skarb, że nawet w telewizji takiej nie mają. Ucieszył się Brzozowski jak dziecko i niedługo z tej ra- dości też sobie wideo kupił, ko- lorowy telewizor. Bedzie chcia- ła jakaś wycieczka ludowe ob- rzędy zobaczyć, to się włączy — wykombinował. Praktycznie i nowocześnie. A i samemu cza- sem miło w domu popatrzyć. No, to posłał syna do Łowicza, do wydziału kultury, żeby przy- wiozł tamtą kasę do przegra- nia, bo oryginalna nie jego i praw do niej nie ma. A tu wraca chłopak i mówi, że... wszystko skasowali. W lipcu to było. Do dziś nikt nie przyje- chał do Sromowa — parę kilo- metrów tylko — żeby chociaż powiedzieć: przepraszam. Tyle

starał, przygotował, kosztów i wszystko zżarnowane.

Prezes Julian Brzozowski nie wie teraz, jak tym, których an- gażował, spojrzeć w oczy. Wstyd. Po prostu, wstyd! I to jeszcze nie za siebie, a za ja- kichś urzędników od kultury. Już oni ją — mówi — carkiem chyba na łopatki położy.

Julian Brzozowski dobrze zna wartość tego, co robi. Jego rze- żbione szopki są u Pijarów w Łowiczu, w Leszenie, w kilku innych kościołach, w Kanadzie, Francji, RFN, we Włoszech... Pięć lat temu miał wystawę w Dortmundzie: rzeźby jego i sy- na, obrazy córki, pajaki żony... Bo nie tylko on jeden w rodzi- nie tworzy. Nie tylko jego rzeź- by są w muzeum. Muzeum — jak głosi napis — rodziny Brzo- zowskich!

A ilu zagranicznych gości już je zwiedziło? Ilu ambasadorów z żonami, biznesmanów, profe- sorów? Jedna ambasadorowa tak się zachwyciła, że cały dom w łowickim stylu potem do sie- bie zawiozła. I prymas Glemp był kiedyś, i marszałek Sejmu Malinowski, premier Rakow- ski... Długo by wymieniać.

Brzozowski myśli prosto: gdyby nie było po co, to by nie przyjeżdżali. Cóż jednak z te- go, skoro wciąż zdany tylko na własne siły? Cóż z tego, że władze wyrażają uznanie, po- dziwiają, gratulują, jak nikt potem nie chce pomóc? A prze- ciż utrzymanie takiego muze- um kosztuje. W zeszłym roku zebrał z biletów osiemset tysię- cy złotych. Niby dużo. Ale wy-

dał dużo, dużo więcej. Z czego? Ano, z tych swoich dziesięciu hektarów i szopek, które od czasu do czasu robi na zamó- wienie. Chętnych nie brakuje. Oferują złotówki, marki, dola- ry... Większości odmawia, bo nie ma czasu, a poza tym — to powinno zostać w Sromowie, w Polsce, dla przyszłych pokoleń. Wszystko jednak drożeje. Za ciągnik zapłacić o ponad milion więcej niż dałby przed rok'em. Sąsiadki z żony się śmieją, że tacy artyści, a ona nawet futra nie ma. Coraz trudniej żyć. Więc pewno trzeba będzie do- konać wyboru.

Ale zanim to nastąpi, Julian Brzozowski chciałby zaprosić do siebie ministra Aleksandra Krawczuka, oprowadzić go po napeczniałych już pawilonach, pokazać stare narzędzia rolni- cze, które niszczą, bo nie ma ich gdzie pomieścić, opowie- dzieć o wszystkim, a potem za- pytać wprost:

— Panie ministrze, co ja mam robić? Rzeźbić na handel za do- lary, żeby utrzymać jakoś to, co jest, czy z pomocą państwa powiększać zbiory, rozbudowy- wać muzeum, ratować dalegi- ną kulturę polskiej wsi, póki jest na to jeszcze czas? Co pan zrobiłby na moim miejscu?



Foto: Grzegorz Gałasiński

Uwaga! Apel do wszystkich!

Żeby język polski był piękny!

II Kongres Kultury Języka Polskiego, który o- bradował w Katowicach od 7 do 9 grudnia 1988 r., spotkał się z żywym oddźwiękiem w środowi- skach kulturowych kraju.

Rangę tego wielce reprezentatywnego forum mi- łośników piękna mowy ojczystej podniosło jeszcze bardziej objęcie nad nim protektoratu przez I se- kretarza KC PZPR, przewodniczącego Rady Pa- ństwa — Wojciecha Jaruzelskiego. Wziął on rów- nież udział w uroczystości otwarcia obrad kongresu. Przypomnijmy, że Rada Krajowa PRON była wraz z Komitetem Językoznawstwa PAN i Narodowa Rada Kultury współorganizatorem I Kongresu Kultury Języka Polskiego, zwołanego przed cze- rema laty do Szczecina. Do ważniejszych postano- wień szczecińskiego forum językoznawców zaliczy- należało ustanowienie dorocznej nagrody im. Witolda Doroszewskiego, przyznawanej instytucjom i o- sobom prywatnym za wybitny wkład w propa- gowanie kultury języka ojczystego. Wśród jej lau- reatów znaleźli się między innymi profesorowie: Mieczysław Szymczak (pośmiertnie — jeden z głów- nych organizatorów szczecińskiego kongresu), Sta- nisław Urbańczyk, Walery Pisarek, Konrad Górski — oraz redaktor Andrzej Wróblewski z „Życia Warszawy”.

Hasłem przewodnim katowickiego kongresu, który

zgrupował 450 uczestników — naukowców, nau- czycieli, wydawców, dziennikarzy, literatów oraz gości zagranicznych (w tym licznych przedstawicieli środowisk polonijnych) był „Język polski w bogactwie swoich odmian”.

Właśnie województwo katowickie, gdzie obok gwar śląskich i innych odmian języka potocznego funkcjonuje język ogólnonarodowy, jest swoistym fenomenem — niezwykle wdzicznym laboratorium do prowadzenia badań językoznawczych. Rozwinię- ty się one na dużą skalę w Uniwersytecie Śląskim. obchodzącym niedawno piękny jubileusz dwudzie- stolecia działalności w Polsce Ludowej. Zaowocowa- ły licznymi publikacjami, z którymi uczestnicy obrad mogli się zapoznać dzięki zorganizowanej w centrum kongresowym przez Wydawnictwo Univer- sytetu Śląskiego wystawie, połączonej z kiernas- zem. Druga, bardzo ciekawa ekspozycja, obrazo- wała wielowiekowa walka o słowo polskie na Śląsku.

Miłym akcentem było powołanie w skład prezy- dium kongresu wybitnego naukowca z Uniwersy- tetu Łódzkiego, przewodniczącego Komitetu Języ- koznawstwa PAN — prof. Witolda Śmiecha. Spra- wował on w trakcie prac przygotowawczych od- powiedzialną funkcję sekretarza naukowego.

W centrum uwagi trzydniowych obrad kongre-

sowych, podczas których wygłoszono 34 referaty, był język polski w całym swoim bogactwie: urzę- dowy, naukowy, młodzieżowy, wojskowy, środków masowego przekazu, polszczyzna na Śląsku oraz w środowiskach polonijnych. Obrady toczyły się na sesjach plenarnych oraz w sekcjach.

Robocze posiedzenie plenarne w pierwszym dniu kongresu zainaugurował referat nestora polski językoznawców — prof. Stanisława Urbańczy- ki. Scharakteryzował on w pięknym i bogatym w treści wystąpieniu rozwój polszczyzny w siedem- dziesięciolecie Polski Niepodległej, główną uwagę poświęcając krystalizowaniu się języka ogólnona- rodowego.

Z dużym zainteresowaniem zgromadzonych spot- kały się również referaty wygłoszone przez prof. Władysława Lubasia — „O kulturze językowej Po- laków” i prof. Walerego Pisarkę — „Polszczyzna we współczesnej literaturze”. Związkiem ten ostatni, o- kraszony wieloma humorystycznymi acz horren- dalnymi przykładami — był żywo komentowany wśród akredytowanych dziennikarzy. Gromki śmiech rozlegał się na sali, gdy na przykład Walery Pi- sarek cytował, że „żyjemy w warunkach krótkiej koldry”, „uciekamy do przodu” lub chcemy, by „kielebsa szukała klienta”. Wpadamy teraz do snack-barów, jadamy hot-dogi, mieszkamy nie na przedmieściach, lecz w suburbiach.

Do jednego z najciekawszych referatów, prowo- kujących do dyskusji i przemysleń, zaliczylibyśmy wystąpienie prof. Aleksandra Wilkonia z Univer- sytetu Śląskiego w Katowicach. Pokusił się on bowiem — omawiając relacje zachodzące między odmianami współczesnej polszczyzny a kulturą języka — o scharakteryzowanie spustoszeń, jakie w dziedzinie kultury językowej społeczeństwa spowo- dował w latach 1949-1955 stalinizm. Jego skutki — zdaniem profesora — boleśnie odczuwamy do dziś.

Zbyt mało przeciwstawiamy się — jak to do- sadnie określił — językowemu chamsztwu, mówie- niu żargonem, posługiwaniu się młodzieżowym slan- giem, upowszechnianiu przez niektóre utwory li-

terackie i filmowe słów wulgarnych. Wulgaryzmy przeniknęły również do języka inteligencji, zawiad- nęły nawet polszczyzn niektórych kobiet i dzie- ci. Zwrócił też uwagę, że ubóstwo językowe i szabo- nowość pojawiające się w wystąpieniach o- ficjalnych wywierają wpływ na zachowania i po- stawy społeczne.

Minister kultury i sztuki Aleksander Krawczuk zaakcentował w swoim przemówieniu wysiłki władz państwowych między pierwszym a drugim kongre- sem na rzecz upowszechniania kultury języka oj- czystego. Zmodernizowane zostały w tym czasie programy nauczania i wprowadzono nowe pod- ręczniki do nauki języka polskiego w szkole. Mimo znanych trudności poligraficznych, w latach 1983-1988 ukazało się 40 publikacji słownikowo-popraw- nościowych, w łącznym nakładzie 4 milionów eg- zemplarzy. Według ministra główny nacisk powi- nien zostać obecnie położony na przygotowanie wy- soko wykwalifikowanych kadr polonistów. Należy też zapewnić środki finansowe na kontynuowanie prac nad wydaniem „Słownika współczesnego ję- zyka polskiego”.

Wypada zgodzić się z Andrzejem Wróblewskim, który napisał w „Życiu Warszawy”, iż „żaden kon- gres nie poprawi stanu polszczyzny. Moga tego dokonać dwie instytucje: rodzina i szkoła. W tym celu trzeba jednak i tę rodzinę i tę szkołę (tzn. nauczycieli) wychować w duchu kultury języka”.

JANUSZ KOZŁOWSKI

25 listopada 1988 roku wszyscy „siedzący okrakami” lekarze mieli otrzymać wypowiedzenia. Nie otrzymali, ale wojna trwa nadal.

Prezes spółdzielni zapewnia, że ci z „Medicusa” przed czy później będą musieli odejść. Oni z kolei na to, iż nie pozwolą się wyrzucić za niewinność. Nie ich wina, że są młodzi, solidnie wykształceni i potrzebni ludziom, i pragną wobec tego zarabiać nie mniej niż zarabia w Polsce wykwalifikowany robotnik. Prezes im jednak zarabiać nie broni. Nie może natomiast zrozumieć, dlaczego miałby hotubić na spółdzielczą swą pierś konkurencję. Na Zachodzie tylko wariat postępuje w ten sposób, a tu od razu pretensje.

— O co? — pyta prezes spółdzielni. Przedstawmy antagonistów: przeciwnikiem Spółdzielni Lekarzy Specjalistów, mającej do niedawna w Łodzi pozycję monopolistyczną, stał się od kwietnia 1987 roku Zespół Lekarzy Specjalistów „Medicus”, spółka z o.o., będąca zwaśnięciem „nowego” w dziedzinie usług lekarskich. Inaczej mówiąc, przy boku dużej spółdzielni, zatrudniającej ponad 700 specjalistów, powstała na fali spółek mała forpoczta swobodnej przedsiębiorczości. W porównaniu ze spółdzielnią, jest to istotnie liliput: niecałkowicie 50 lekarzy, zatrudnionych po kilka godzin w tygodniu, w większości dość młodych, co nie znaczy, że początkujących. Przeciwnie, pod względem kwalifikacji reprezentują naprawdę silny zespół: aż 26 adiunktów, ordynatorów lub zastępców ordynatora, a także 12 samodzielnych pracowników nauki, czyli docentów (przeważnie) i profesorów. Część z nich (24 lekarzy)

Chcieli konkurencji, to ją mają!

Wojna ubogich medyków

ANDRZEJ GEBAROWSKI



Collage: Grzegorz Galasiński

pracuje jednocześnie w spółdzielni. To oni właśnie siedzą teraz „okrakami”.

Poznajmy na przykład młodego, pełnego energii laryngologa.

W poniedziałek, gdy wybrałem się do „Medicusa” z późną ranością wizytą, miała mu właśnie dziewiąta godzina pracy. Od ósmej rano do drugiej po południu przebywał w szpitalu, w swoim podstawowym miejscu pracy (bez którego — dodajmy — nie mógłby zatrudnić się w innych), gdzie pełni funkcję zastępcy ordynatora. Od drugiej do czwartej przyjmował w spółdzielni, już jako lekarz-specjalista, a od piątej do siódmej wieczorem — w spółce przy ul. Wólczańskiej, gdzie zbadał około 10 osób i na dodatek porozmawiał z redaktorem.

Laryngolog powiada, że stara się z pracą nie przesadzać: nie pozwala sobie na więcej niż na trzy zajęcia popołudniowe i wieczorne w tygodniu (oczywiście — poza najważniejszym etatem i oczywiście — nie licząc dyżurów w szpitalu). Chciałby pracować mniej, ale nie może. Z czego wówczas utrzymuje rodzinę?

Jego koleżanka, przyjmująca tego dnia w jednym z czterech gabinetów „Medicusa”, jest adiunktem ze specjalnością okulisty. Rano była w „Cefarmie” załatwiać dla spółki deficytowe leki. Potem — od jedenastej do wpół do pierwszej — siedziała w „Medicusie”. Następnie, od drugiej do prawie szóstej po południu, spotkała się ze studentami na ćwiczeniach z anatomii. Po szóstej wróciła znów na ul. Wólczańską, coś tu było jeszcze do załatwienia... Z popołudniami u niej podobnie, jak u kolegi. Raz w tygodniu dojeżdża do „Siry” w Sieradzu. Leczy tam, a jakże...

Okulista i laryngolog, oboje po drugim stopniu specjalizacji, zarabiają 70–90 tys. zł miesięcznie. Jeśli zrezygnują z pracy w „Medicusie” — ubędzie im 10–30 tys. zł (na razie nie ma zbyt wielu pacjentów). Jeśli odejdą ze spółdzielni, jak chce tego prezes — też stracą część zarobku, który — choć w spółdzielni jest mniejszy niż w spółce — liczy się za to do podstawy emerytury. Nie do pogardzenia są także ułatwienia socjalne i inne (płatne urlopy, chorobowe, dodatki służbowe), których spółka nie może oferować.

Sytuacja jest więc taka: „Medicus” daje im pieniądze, a spółdzielnia zabezpiecza na przyszłość. Dopóki ten podział ról się nie zmieni, nie przestaną „siedzieć okrakami”.

Właśnie o to siedzenie na dwóch stołkach rozpoczęła się wojna. Jeszcze w czerwcu 1987 roku gdy na ul. Wólczańskiej zawitali pierwsi pacjenci, w spółdzielni zaczęto rozważać, jak

najłatwiej przywołać lekarzy do porządku. Po wzajemnym zbadaniu sił, po kuluarowych rozmowach i przetrząsaniu urzędowo, iż lekarzom postawiony zostanie warunek: zajęcia w „Medicusie” — owszem, ale nie mogą one prowadzić do zmniejszenia wymiaru godzin zatrudnienia w spółdzielni. Medycy łatwo na to przystali, sądząc, że tym samym konflikt będzie zakończony. Był to jednak dopiero początek sporu.

Prawdziwy atak nastąpił w październiku 1988 roku, po zakończeniu okresu urlopowego. Na burzliwym posiedzeniu Rada Nadzorcza Spółdzielni zastrzyła stanowisko. Podjęła mianowicie uchwałę, zabraniając „własnym” lekarzom praktyki w spółce. Najwcześniej dowiedział się o tym ówczesny (obecnie już były) prezes „Medicusa”, znany nam laryngolog:

— O bezwzględnej konieczności dokonania wyboru powiadomiła mnie pani kadrowa, dodając znacząco, iż jej szef pragnie ze mną rozmawiać, z powodu — jak się wyraziła — łamania przeze mnie statutu spółdzielni. Wykreśliłem zaraz do prezesa i dowiedziałem się — o dziwo — że jest to jakieś nieporozumienie, ponieważ nie zamierzałam z nikim rozmawiać. Uprzedziłem więc kolegów: jeśli kadrowa zadzwoni do was, zapraszając na rozmowę z prezesem, nie szukajcie się wcale, bo on nie zamierza z nikim rozmawiać...

Uprzedzenie było o tyle chybione, że pani kadrowa nie poprzestała wcale na propozycji rozmowy. Wyznaczyła po prostu czas na podpisanie „deklaracji lojalności” wobec spółdzielni. W przypadku odmowy — groziła — nastąpi bezwzględne zwolnienie. Nie przestraszyło to widać lekarzy, skoro do kadry zgłosiła się jedna tylko osoba. Trzeba było poczekać na inną, dogodniejszą sposobność.

Znalezione ją w spółdzielni szybko, korzy-

razu na dłużej, lecz wymagana jest wiedza zgodna pracodawcy w podstawowym miejscu zatrudnienia (szpitalu, uczelni). Niby większość ma taką zgodę, albo też może ją bez trudu uzyskać, ale tak jest wygodniej, i bezpieczniej... Po co kusić licha?

Jak widać, lekarze z „Medicusa”, choć pewni są mocno swych racji, troszkę są jednak niepewni prawnego ich uzasadnienia. Podobnie dzieje się ze spółdzielnią. Tam z kolei nie mogą znaleźć odpowiedniego paragrafu, który by jasno wykładał, iż „siedzenie okrakami” koliduje z prawem. Jeden z punktów statutu zabrania wprowadzić spółdzielcom prywatnej praktyki lekarskiej, ale nie jest do końca jasne, czy odnosi się to także do spółek. Mocno nad tą niejasnością boleje prezes spółdzielni:

— Życie wyprzedziło u nas zasady formalno-prawne. Niezależnie jednak od stanu prawa, demokracja w gospodarce polega na tym, aby każda ze stron mogła sobie wybierać — pomiędzy dobrym a jeszcze lepszym. Skoro takie prawo mają lekarze, nie można go odbierać spółdzielni.

Prezes wykonuje zresztą postanowienia Rady Nadzorczej (składającej się również z praktykujących lekarzy) która uważa, że zatrudnianie osób pracujących jednocześnie w spółce nie leży w spółdzielczym interesie. To, iż zamiast natychmiastowych zwolnień, dał lekarzom możliwość wyboru, należy ocenić jako gest dobrej woli, uczyniony ze względu na bezprecedensowy charakter zdarzenia. Na Zachodzie, gdzie konkurencja istnieje od dawna, nikt by w firmie nie pozwolił, aby niekiedy z pracowników zasiadali na dwóch stołkach, czując się wygranymi niezależnie od wyniku rywalizacji. Skoro medycy chcieli konkurencji, to ją mają!

Wątpliwe jednak, czy lekarze z „Medicusa” tak bardzo chcieli konkurencji. Oni po prostu chcieli lepiej zarobić!

Na zarobki w spółdzielni narzekano już od dawna. Nie wdając się w szczegółowe rozważania, ograniczę się do podstawowej informacji: za wizytę np. u pani docent (dr med.) płaci się obecnie 1200 zł, z czego prowizja dla lekarki wynosi zaledwie 330 zł. Resztę zabiera spółdzielnia, i chociaż przeznacza te pieniądze na bardzo szlachetne cele (fundusze socjalne, koszty utrzymania lecznicy, rozwój bazy) oraz na cele konieczne (podatki) to jednak fakt, iż bezpośrednio do kieszeni leczącego trafia mniej niż jedna trzecia należności za wizytę, jest wysoce depresyjny. Do tego stopnia, że jeden z doktorów, obliczywszy, ile mu się na rękę wszystkiego należy, w nagłym odruchu protestu wywiesił na swoich drzwiach kartkę: „Wizyta u mnie kosztuje paczkę „Carmenów”.

Najkrócej skomentował to laryngolog z „Medicusa”:

— W Finlandii, gdzie zapoznałem się z tamtejszą służbą zdrowia, też funkcjonują spółdzielnie, w podobnej mniej więcej co w Polsce proporcji dzielące swoje przychody. Z tą jednak różnicą, że to lekarz otrzymuje 80 procent, a nie spółdzielnia...

„Medicusowi” daleko do Finlandii, ale proporcje są w spółce bardziej korzystne niż w łódzkiej spółdzielni: z 1700 zł opłaty za wizytę (u lekarza posiadającego stopień naukowy) prowizja wynosi połowę.

Prezes orientuje się dobrze, jakie pretensje mają lekarze. Robi — powiada — co może, aby podnosić zarobki (udało się to ostatnio dwukrotnie, z 240 na 280, a potem do 330 zł). Dopóki jednak nie zmienia się radykalnie przepisy podatkowe, dopóki nie będzie naprawdę istotnych podwyżek. Cała nadziejka — uważa — że te przepisy ulegną niedługo zmianie, ponieważ to, co obecnie się dzieje, jest zwykłą dyskryminacją sektora uspołecznionego w stosunku np. do spółek. Jeśli reguły gry ekonomicznej staną się jednakowe dla wszystkich, wówczas nie będzie się obawiać żadnej konkurencji. Ale na razie — bać się jej musi. I odpowiednio do tego postępuje.

— Czy można sobie wyobrazić, że taki „siedzący okrakami” pan, przyjmując akurat w spółdzielni, nie wspomni mimochodem, iż leczy również w spółce, gdzie pacjent będzie mile widziany? Oczywiście, że można. I to mi już wystarczy, żeby nie lubić takiego lekarza.

W ostatnim roku spółdzielnia lekarskiej ubyli 60 tys. pacjentów.

Prezes nie wie, ile z tej liczby zabrała im spółka. Słyszał, że „Medicus” przynajmniej się tylko do 3 tys. klientów. Czy musi im wierzyć? — zadaje sobie retoryczne pytanie.

A w ogóle — denerwuje się w końcu — nie jest to kwestia konkretnych zagrożeń, ale przestępczości określonych zasad. Od pracowników należy po prostu wymagać lojalności.

Zainteresowani lekarze odbijają tę piłeczkę, tłumacząc, iż nie zmniejszają — zgodnie z pierwotną umową — ani liczby godzin spędzanych w spółdzielni, ani nawet liczby przyjmowanych tam pacjentów. Oni też się w końcu zdenerwują.

— Dlaczego jakiś prezes — mówią — zarzuca nam nieofiarność, skoro nie robi tego nasz podstawowy pracodawca, dyrektor szpitala lub rektor?

Wojna błędnych trwa. Używając terminologii wojskowej, mamy teraz przejściową ciszę na froncie. Kiepsko zarabiający lekarze, okopawszy się w dopiero co zdobytych, nieco lepszych finansowo pozycjach, czekają na generalny atak ze strony ubogiej w środki rozwojowe spółdzielni. Lekarze będą się pewnie bronić z determinacją, ale i spółdzielnia nie ma wyboru: od rezultatów tej wojny zależnie będzie jej przyszłość w konkurencji z następnymi spółkami lekarzy, których powstaje w Łodzi coraz więcej.

Tam, gdzie dwóch się bije, często wygrywa trzeci. Może więc zwycięzca będzie w efekcie pacjent?

Komu nagrodę „Odgłosów”?

Na postawione powyżej pytanie odpowiada KRYSZYNA POTOCKA-SUWAŁSKA starszy inspektor wojewódzki do spraw kultury.

— Po raz piąty nasza redakcja przyzna swoją doroczną nagrodę za upowszechnianie kultury. Chciałbym usłyszeć od pani kilka zdań na temat samej istoty upowszechniania kultury. Czy możemy o tym mówić w odniesieniu do plastyki?

— Upowszechnianie kultury dla mnie — to szerokie uświadamianie i poznawanie różnorodnych treści i wartości kultury, to także powszechny jej odbiór. Upowszechnianie kultury dla mnie — to także kształtowanie postaw humanistycznych, twórczych, otwartych. Jako mecenas, który bezpośrednio sponsoruje instytucjom i placówkom kultury, zasadniczo nurt upowszechnieniowy widzimy — i realizujemy — poprzez działalność profesjonalnych instytucji upowszechnieniowych, instytucji artystycznych i placówek. Natomiast w ostatnim czasie zauważyłam, że nieformalne, spontaniczne grupy podejmują działalność upowszechnieniową. Jest to niezwykle cenne, szczególnie teraz, w tych niełatwych czasach, kiedy trudno mówić o prospołecznym działaniu we wszelkich dziedzinach życia.

— Zatem co, zdaniem pani, leży u podstaw prawidłowego działania na rzecz upowszechniania kultury?

— Podstawą efektywnego i prawidłowego upowszechniania kultury jest dobra informacja i edukacja kulturalna. Władze miasta doceniając wagę informacji w procesie upowszechniania kultury i sztuki powołały Centrum Informacji Kulturalnej. Centrum to, w moim odczuciu, nie w pełni jeszcze realizuje cele i zadania, do których zostało w istocie powołane, to znaczy stwarzanie i realizowanie systemu informacji kulturalnej w całym mieście. Na razie funkcjonuje, jak sądzę, bez większych zarzutów. Jeden z elementów tego systemu — „Kalejdoskop”. CIK zaczyna rozwijać swoją działalność imprezową w siedzibie przy ul. Zamenhofa. Jest to bardzo interesująca oferta dla mieszkańców Łodzi. Radzę wybrać się do „Piwnicy” także i po to, ażeby zwrócić uwagę na zaprojektowane wnętrza, które w moim odczuciu, są jedną z najciekawszych realizacji wnętrz w Łodzi w ostatnim czasie. Są one oryginalne i specyficzne w swoim wyrazie i funkcji. Nie mogę się zgodzić z tymi, którzy ocenę funkcjonowania, obecności kultury, sztuki we wnętrzach CIK przy ul. Ludwika Zamenhofa, próbują dokonywać poprzez twarde i mało wygodne siedziska w kawiarni „Piwnica”. Czy to może rzutować na odbiór treści kultury? W moim odczuciu odbieranie kultury w miękkim fotelu i w ciepłych bamboszach jest przykładem mieszczaństwa i hedonizmu, co w konsekwencji jest zgnębne dla recepcji sztuki.

Ze względów zawodowych najbliższe dla mnie jest upowszechnianie plastyki, szczególnie sztuki współczesnej. Upowszechnianie sztuki jest trudne i niewdzięczne, niewdzięczne z kilku powodów: m.in. dlatego, że wymaga twórczego nastawienia, sporej inicjatywy, wysiłku, przełamania schematów.

Upowszechnianie plastyki i zespolona z tym — jako system naczyń połączonych — edukacja plastyczna mają na celu rozwój kultury plastycznej jednostki, społeczeństwa, Kultura plastyczna, jak każda inna zresztą, sprowadza się do pewnego systemu orientacji czy świadomości, orientacji w wartościach.

Kulturę plastyczną należy formować od najmłodszych lat. W sposób świadomy, stopniowy, systematyczny i atrakcyjny. Choć funkcjonuje i taki pogląd, że percepcji dzieła sztuki nie można uczyć, nie należy uczyć — wystarczy sama intuicja. Chyba nie należy zgodzić się z takim poglądem, bo to brzmi jakby ktoś dowodził, że nie należy się np. uczyć języka polskiego. Ogólnie poziom kultury plastycznej Polaków jest niski, czego efektem są buble, prymitywizm kolorystyczny, brak estetycznej ogłady i wyuczucia. Znajomość kultury plastycznej jest nie bez znaczenia dla techniki i przemysłu, chodzi tu o dobre projektowanie, produkcję, a także o umiejętny wybór i kupno. Myślę tu także o humanizacji przestrzeni, w której żyjemy, a przede wszystkim myślenie o doskonaleniu osobowości poprzez oddziaływanie sztuki.

— A kim, według pani, jest człowiek upowszechniający kulturę? Szczególnie dziś, w tak trudnej sytuacji, w jakiej się znajdujemy?

— Jest to pasjonat z jednej strony, a z drugiej misjonarz. Bo ci, którzy zajmują się upowszechnianiem kultury, są w stosunku do obowiązujących średnich plac w Polsce, daleko w tyle.

— Z naszej rozmowy mogę wnosić, że nagroda „Odgłosów” winna przypaść komuś, kto — jak to pani powiedziała — jest pasjonatem i misjonarzem, jeśli chodzi o propagowanie dzieł szeroko pojętej sztuki plastycznej. Może ma pani nawet swojego kandydata?

— Tak, Bernard Kepler, dyrektor Biura Wystaw Artystycznych w Łodzi. Dzięki jego wieloletniej działalności BWA jest jedną z najprężniej działających instytucji upowszechniania sztuki w Polsce. Dzięki niemu mamy okazję w galeriach łódzkich oglądać prace czołwki artystycznej kraju.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI



Nie należy mi zazdrościć!

Książę, Robaczek i inni

(2)

Rozmowa z JERZYM TREBICKIM — pisarzem.

— Wszyscy skazani wiedzieli z gazet, że miał pan kochankę, co mogło z całą brutalnością i bezwzględnością wykorzystać przeciwko panu. Nie obawiał się pan tego?

— Jestem normalnym mężczyzną. To co, że gustuję także we własnej płci? Jako więzień, o dziwo, prawie nie mieszałem się ze swym wolnościowym homoseksualizmem w więziennym „kodeksie”. Ze ścisłością Talmudu określającym — co wolno, a czego już nie. Czworokrotnie samcowi z samcem — nie Czworokrotnie, w łóżku. A właściwie w tzw. korytarzu. Lecz o czyszczeniu z podziemia siebie, pograżałybyśmy swego eks-przyjaciela, którego zgnojono by jako cwela. On mnie fałszywie oskarżył o szeptostwo napadu na Annę Wujek. Ja go uprzednio wydałem prawu. Nie mogłem zrobić tego po raz drugi. Znowu wybrałem milczenie. Będąc świadom skutków tej niewyjaśnionej sytuacji po wywiezieniu mnie z mokotowskiego aresztu śledczego... Po wywiezieniu nas obu...

— Cwel to najpodlejsza rola w więzieniu. Czy próbowano ją panu przypisać?

— Tak, na samym początku, ale bez powodzenia. Mimo całej tej gazetowej wrzawy. I chociaż byłem aktorem. Więziennowie — Ludzie, w większości chłopcy wprost lub pośrednio ze wsi, uważali wszelkich artystów za zgniliznę moralną. W swoim pierwszym Zakładzie Karnym Strzelce Opolskie wygrałem wstępna bitwę w mojej wieloletniej walce o godność — programowym zachowaniem swojej inności. Za krótkimi wręcz obowiązuje brutalność. W słowie i w czynie. Każde zaszczytne zwierzę warczy, stroszy sierść, pokazuje kły. A ja, rzucony na tzw. oddział nierobów, między stu kilkudziesięciu ostrzących na mnie zębów, wygolonych do gołej skóry złodziei, bandytów i morderców, mimo nieludzkiego łęku, począłem zachowywać się jak osoba z najlepszego towarzystwa. Wszedłem do malej śmierzdzącej celi z czterema agresywnymi skazańcami i zarzewiałym kibelem w rogu, jakbym wysiadł tu na chwilę z Orient Expressu. Na swoim pierwszym spacerze miałem duszę na ramieniu, ale udałem z kurczowym spokojem, że nie widzę ich spojrzeń, nie słyszę ich wściekłych szepców i ani się domyślałem ponizających mnie „plotek”. W kolejne dni byłem dla całej tej bandy dyskretnie żywiliwym i nikogo nie pouczalem, niczemu się nie dziwilem. Moja przejrzysta stanowczość wykluczała ich pytania. Stu kilkudziesięciu dwudziestoparolatków zatrzymano się jakby w pół kroku. Trudno biec lub gwałcić osobnika, który wyciąga do nas dłoń z pewnym siebie uśmiechem.

— A nieco później?

— Przez 10 lat mego pobytu w więzieniu tylko dwa razy na krótko byłem zagrożony. Poza tym nikt z więźniów nie zrobił mi nigdy najmniejszej przykrości. Wierzę, że ów wysłany „bon ton” stosowany przez białych arystokratów obezwładniał na moment czerwonych rewolucjonistów. W moim wypadku, bez żadnej przesady, to był taniec pod gilotyną.

— Skazany o pseudonimie „Książę” wręcz pana sympatycznie podrywał. I chyba z pewną wzajemnością?

— Wolałbym sobie odciąć...

palec niż wdać się tam w jakieś romanse. W więzieniu walczyłem o swoje życie. Będąc gnojonym i pomiatanym przez współskazanych nie mogłbym o nich pisać. A bez pisania chyba bym się jednak powiesił. No, może bym np. rysował. Musiałem zdobyć ich zaufanie, sympatię, a może i pewien podziw. A poza tym brak wytchnienia od własnej płci zwiększył we mnie apetyt na tę przeciwną. Książę? Urzekł mnie swą inteligencją. Choć skończył tylko pięć klas. Był kimś szalenie opiniotwórczym wśród Ludzi. Zresztą dużo działał w poprawianiu mojej więziennych opinii. Pod koniec kryminalu zakończyłem w osiemnastoletnim więzieniu — pastuszką z PGR, półnalfabecie, podobnym do Brigitte Bardot. Piszę o tym w trzecim tomie.

— Co dzisiaj słychać u Książę?

— Nie wiem. Pewnie rozpiął się lub może został dyrektorem? Szkoda by go.

— A inni bohaterowie „Zbrodni i...”? — Pożenił się, mają dzieci, oczywiście piją; handluje na bazarze. Niektórzy wrócili za kratki, niektórzy znowu stamtąd wyszli. Wczoraj spotkałem „Trupa” na ulicy. Jeździł za kółkiem w transporcie. Bohaterowie są zmęczeni. Na szczęście ich górna i chmurna młodzież pozostanie nieskazana na kartach mojej książki.

— Bardzo sympatycznymi postaciami są pana siostra Hania i jej syn Robert? Co z nimi?

— Oprócz mego przyrodniego brata, Robert jest jedynym z naszej rodziny, który się do mnie przynajmniej. Gdy umarł mój ojciec, rada rodzinna sprzeciwiała się, żeby Hania dała nekrolog do gazety. Po co przypominać ludziom zafablowane przeze mnie nazwisko. Z Hanią utraciliśmy kontakt.

— Pan w gruncie rzeczy nie kocha ludzi?

— No cóż. Cierpiąca za biedny, polski lud, Maria Konopnicka ponoć była wyrodną matką. Myślę, że najbliższe pokrewieństwo czy najgorętsza przyjaźń są najżyźniejszym polem wzajemnej nienawiści. Nagle z blahaego powodu tryskają z obu stron nigdy dotąd nieujawnione, zaciekle urazy. Ta nienawiść, obawiam się, bywa tym namiętniejsza im gorętsza i idu gotrwała była uprzednia wzajemna bliskość. Stąd owe krwawe rozprawy bolszewików z mieniszewikami, naszej opozycji z partią, romantyków z pozytywistami.

— Kto to jest Barbara W.?

— Znana autorka m.in. „Ciebie jedną kocham”. Mój wierny przyjaciel z młodości. Wraz z Hanią, a potem częściej sama, pomagała mi ofiarne przez ostatnie pięć lat mego więzienia. Niestety na wolności widuję ją raz na rok. Może tak rzeczywiście jest siuszniej?

— A Mieczysław G.?

— „Robaczek”? Mój eks-przyjaciel, aktor, ostatnio bardziej prezenter. Prowadził wybory „Miss Polonia”. Andrzej Wicz tak pisał do Komisji Wymiaru Sprawiedliwości: „...Otóż Mieczysław G., nie mogąc ścierpieć, że jestem z J. Na-skim w Zakopanem, otworzył dorobionymi wcześniej kluczami Na-skiego jego mieszkanie i ukradł mu Venus wartą dziesięć tysięcy dolarów, inne cenne obrazy oraz antyczne srebra, rzeźby, porcelanę, tkaniny.

Przysięgi, że wszystko zwróci, jeśli Na-ski ze mną zerwie”. Ta kradzież, proszę pana, miała miejsce rok przed moim aresztowaniem.

— I co zwrócił?

— Nic. Bałem się zawiadomić milicję, bo szantażował nas z Andrzejem, że powie o innych sprawach. W okresie procesu cała polska prasa zrobiła z Mieczysława G. anioła. Nawet dziewczęco obiektywna Barbara Seidler napisała w „Życiu Literackim”: „...dla Na-skiego stawały się za małe pieniądze Mieczysława G., który go utrzymywał przez kilkanaście lat”. Parę wierszy wyżej, tej pierwszej damie naszej sądowej „wydaje się niezbite” że Mieczysław G. nigdy nie miał żadnego udziału w moich milionowych zyskach. Czyli o nich wiedziała. Miał! To ja „utrzymanek” finansowałem liczące podróże „Robaczka” na Zachód i jego obfite zakupy w Paryżu, Londynie czy Rzymie. Zaś on, też złodziej, do dziś drapuje się w anielskie szaty niewinnie skrzywdzonego.

— A może wyrządził mu pan krzywdę moralną?

— Moralną na pewno tak. Zamieszałem go pośrednio w swoje przestępstwa. Miał naciągany proces o duperele. Ale nie dość, że mnie okradł, to broniąc się przed sądem, kłamliwie zaszargał moją męską godność. Gdy wyszedłem z więzienia, miałem koszmarnie, zaściesz mieszkanie i niewiele więcej na grzbiecie. Zaproponowałem, żeby zwrócił mi połowę tego co „wziął”. Zaoferował się podzielić ze mną wszystkim co ma, ale na drugi dzień oświadczył, że nic mi nie da, bo ja chciałbym wszystko.

— Nie oddał pan sprawy do sądu?

— Nie, bo musiałbym wpłacić ponad 10 procent z kilkudziesięciu milionów złotych. Taką mają wartość ukradzione mi przez niego antyki.

— I tyle by zostało z wieloletniej miłości...

— Marzę, aby Mieczysław G. wytoczył mi proces o zniesławienie. Dowiodę całej prawdy. Niech już będzie ten magiel.

— „Kiwam się na stołku i gapie w kraty. Jeszcze tylko 17 lat i trzy lata za grzywnę” — pisał pan w swojej książce. Czyżby stracił pan wówczas racjonalność? Dwadzieścia lat to epoka w życiu człowieka?

— Roman Bratny w przedmowie powiada, że przesłaniem mojej książki jest nadzieja. „Trudna nadzieja ludzkiego bytu”...

— Pana książka to pierwsza u nas Jaskółka tego typu. Ale kosztowna jakiejś wiwseksji na samym sobie?

— Mój proces i kampania prasowa ujawniły także tyle nieprawdy o mnie, że rzucenie dziennikarzowi na żer moich intymnych spraw już prawie nie boli.

— A gdyby Rada Państwa w końcu nie ulaskawiła pana?

— Napisałbym w celi swój kolejny melodokument. A tak, nie wiadomo... Z pewnością wytrwałbym w więzieniu jeszcze wiele lat. Czymś tam karmiąc nadzieję na wyjście.

— Czym?

— Żłudzeniami. Ze w nowym, lepszym systemie zmieni się też na plus sądownictwo, że wybuchnie wojna nuklearna, że kiedyś otrzymam Nobla...

— Swoją twórczością pragnie pan podobno zadośćuczynić moralnej ekspiacji? Roman Bratny napisał w przedmowie do „Zbrodni i...”: „Nasz system penitencjarny może to sobie zapisać po stronie poważnych zysków w dziale rehabilitacji tego więźnia. No i w dziale „prewencyjnej rehabilitacji” wszystkich jego czytelników”. Pan podziela tę opinię?

— Nie tylko ja zawdzięczam Bratnemu swoje dalsze istnienie, ale i ta książka. Bez jego i takiej przedmowy książka cztery lata temu nie zostałaby przyjeta do druku. A może pisać ja chciałem totalnie się zemścić? Choćby na sprawiedliwość. Lub zarobić dużo pieniędzy i zaprosić moich kilkunastu młodych przyjaciół na wakacje jachtem po Morzu Śródziemnym? Kto wie, co naprawdę w nas siedzi...

— Przeczytałem stare pisma filmowe, przejrzałem fotosy i przypomniałem sobie postacie, jakie grywał pan na dużym i małym ekranie. Pisano: „Na-ski” ujmując widzów nieśmiałością, zagubieniem i osobliwą neurastenią owych chłopców z kompleksami, na próżno usiłujących odnaleźć swoje miejsce na ziemi”. Nastolatki zniewalał pan urodą i wdziękiem aman-

ta. Mijały lata... W więzieniu zaczął pan narzekać na zdrowie?

— Gdy dziewczęta rozpoznawały mnie na ulicy, wzdychały z żalem: „Boże, jaki on brzydki!” Po prostu byłem niezwykle fotogeniczny. Ale też stojąc przed kamerą, bardzo chciałem wydać się piękny. Więc takim też się potem wydawałem. Od niedawna usilnie chcę być mądry. Co zaś do stanu mojego zdrowia w więzieniu to szybko postanowiłem zachować pełnię sił. Gimnastykowałem się, kupowałem za papierosy rozwodnione mleko, jadłem czosnek, smarowałem twarz kremem. Wierzyłem, że jeszcze zdobędę świat.

— W finale książki bohater Jakub Na-ski umiera w swojej jednoosobowej celi — trumnie?

— To przenośnia. Może lata więzienia coś tam we mnie zabili? Lub coś zasiali? Coś o czym jeszcze nie wiem. Ową niby-śmiercią kończą drugą część całości „Zbrodni, seks i kara”, obecnie pracuję nad trzecią, w której wychodzę na wolność.

— Nie myśli pan o powrocie do aktorstwa?

— Myślę. Chciałbym zagrać w filmie superkomediową rolę. Może się uda?

— Teraz żyje pan wyłącznie z pisania?

— Moje honorarium za „Zbrodni i...” nie wystarczyło na długi. Ale to nic. Dorobię się i ustanowię prywatne stypendium dla początkujących, niemłodych pisarzy.

— Smakuje pan swój autorski sukces. Coraz głośniejsze o panu?

— Cieszy mnie sympatyczne przyjęcie „Zbrodni i...”. Jej bardzo duża poczytność. A także życzliwe recenzje, wywiady prasowe, dwa programy w TVP. Ale nie lubię tej skróconej wersji. Jestem maksymalistą. Niecierpliwi mnie to, czego jeszcze nie zrealizowałem. Liczę, że kiedyś w całości powstanie duży, ważny film. W koprodukcji z Zachodem. A może wreszcie takiej prawdziwej ze Wschodem? Pisałbym się na to. Na razie, z dużym trudem doprowadziłem do przekładu dwóch tomów na „amerykański”. Chcę aby zawędrowała pod międzynarodowe strzechy. Zobaczymy czy uda mi się i to.

— Co ma pan w najbliższych planach?

— Skończyć wspomniany trzeci tom, na który podpisałem umowę z Krajową Agencją Wydawniczą. Rzecz opiewa — oprócz moich prywatnych przygód — wielki bunt więzienny. Mam nadzieję zawrzeć tam całą skomplikowaną polskość okresu „Solidarności”. Zbieram też materiały na serial telewizyjny. Chętnie zrobiłbym scenariusz z mego opowiadania „Troszkę nie fair”. Ukazało się niedawno w „Fikcjach i Faktach”.

— Nie pan nie powiedział o swoim warsztacie pisarskim?

— Pracuję długo, żmudnie. Kreśląc, klejąc. Dokładając coś po jakimś czasie. Jak do bigosu. Napisała rzecz też musi się odstać. Gdy tak pichcę tę swoją potrawę, bez przerwy myślę o odbiorcy. Niech czytelnicy mówią o rezultacie.

— Publicysta „Kultury” pisze: „Trebicki potrafi w umiejętny sposób zdawać sobie sprawę ze swego nieudanego i smutnego życia. Przeprowadził nas przez swoje piekło. Przeczytajmy jego powieść z uwagą i współczuciem...”. Co pan na to?

— Mnie należy zazdrościć. Żal mi dziesiątków tysięcy nieszczęśliwych z kratkami, którzy trują się przeżywaniem swoich jakichś tam krzywd całkiem odrzucając swoje winy. Zrozumienie mechanizmu własnego upadku jest często warunkiem podniesienia się z dna. Te pewnie wstyd, że ja widzę swoje życie w sumie udanym. Może to nawet mój grzech skoro rozpięające mnie szczęście — z tego, że walczę o coś fajnego a mimo to uczę się — wyrosło z moich 10 lat więzienia, gdzie dostałem się przecież za karę, bo zламаłem prawo. A na domiar złego stopień tego szczęścia jest, obawiam się, jeszcze wyższy niż mój wielki żal za grzechy.

Rozmawiał:
BOHDAN
GADOMSKI

Ale ciepło!

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Nie rozumiem. Ten Stanley dla ciebie taki...
Była przynęta. Jak gdyby stanęła przed zbyt wysoko podniesioną poprzeczką, dla niej nie do pokonania. Ona, uosobienie nieustępliwości, bez wiary w siebie. A może już po wycofaniu się z biegu, o czym ja jeszcze nie wiem?

Wertowała bezwiednie strony artykułu o Hiszpanii, z którego przedwcześnie była dumna. Podniosła na mnie smutne oczy.

— „Przyjrzany. Namawiał cię na ten wyjazd, a teraz rzuca ci materiałami w twarz? Nie rozumiem.”

Nad tytułem napisano flamastrem: „Soap. Go with this sentimental love story to some other paper!” (Mydło. Zanieś tę sentymentalną opowieść miłosną innemu piśmiu), i zamasyta dekretem z jego parafą dyskwalifikująca artykuł.

Rzuciła nim w pusty kominek.

— I ma rację — powiedziała. — Teraz nie Hiszpania w modzie a Polska. Czołowe kolumny wszystkich pism zamalowane są Polską, nie sposobem przyrzadzania tej... — strzeliła palcami — no, jak jej tam, o której zabazgrałam połowę strony...

— Paela a la valencia.

— Właśnie! — Stanley naigrawał się z niej. „Ryż zabarwiony jest szafranem i oliwką, kawałki kurczaka i krewetki gwiazdkiście poukładane... A na kolację podawano małe w oście, solone migdałki, salatkę z pomidorów i papryki”. Stukał się w głowę. — A co ja wiem o Polsce? No, powiedz Adam.

Zmieniła temat.

— Widzę, otrzymałeś list z kraju. Żadnych zmian w sytuacji twojego ojca?

— Siostra potwierdza jego uwięzienie.

— Uwięzienie? Mówiłeś o zdjęciu ze stanowiska. Nic o tym nie wiedziałam.

— Jak i ja.

— Czy w związku z odmową powrotu grożą twojej rodzinie jakieś dodatkowe represje? Bestialski reżym! — wybuchała. — Polpotowcy! Jeszcze go rozstrzelają. U was, oczywiście, nie istnieją niezawisłe sądy. Czyż nie tak, Adam?

— Coś w tym rodzaju — mruknął. Jej wyobrażenia o świecie pozaanglosaskim są, jak u wszystkich Anglików, na etapie kielkowania, ale tu się nie myliła. Ile to spraw grubo niezgodnych z prawem stało się za ręki jednego telefonem. — Ale w rozstrzeliwaniu — dodałam — myślny nigdy nie byli szybcy.

Nie uspokoiło to jej.

— Biedny ojciec. A gdybyś tak kropnął artykuł do prasy? Porozmawiałabym ze Stanleyem.

— Wpierw musimy pomyśleć o tobie, moja droga. — Przytulił ją do siebie. — Ty jesteś w tej chwili najważniejsza. Wiesz, coś wpadło mi do głowy. Chyba niegłupie. Tak, daj mi pomyśleć. Połóż się, ja tymczasem... Tylko proszę, nie sięgaj po szklankę. — Ucałowałam jej oczy. — Dobry noc, kochana.

Tak chciałam jej pomóc. Okazał się przydatny. Muszę pomyśleć wreszcie o swojej przyszłości; nie mogę skazać się na rolę gospośi i pani domu. Poza tym moje pieniądze nie są wieczne. Ale jak?

Do łóżka wśliznął się nad ranem. Cher twardo spała. Po tabletce nasennej nie mogło być inaczej. A jak prosiłam, by nie sięgała po szklankę. Valium z whisky — niebezpieczna mieszanka, muszę ją przypilnować.

Nie budziłam jej. Widząc taką dostępną, trudno odmówić sobie rozkoszy, wiem jednak, że kiedy ona w sennym odurzeniu zaszkoczy, miłość nasza nie ma końca i wtedy nigdy nie zdąży na czas do pracy.

Rozpierała mnie duma. Pierwszy raz w życiu zrobiłam coś o własnych siłach.

„Polacy — pisaliśmy między innymi — bagnotami Stalina, wtłoczeni w system wielkorosyjskiego zamordyzmu obcy swemu tradycyjnemu sposobowi życia, umiłowani indywidualnej wolności stawianej nade wszystko, nad niezależność państwową nawet, sztucznie odcięci od kultury Zachodu, której stanowili zawsze integralną część. Jeśli chcą oddychać swoim powietrzem, muszą podnieść głowy. Nieszczęściem ich było i jest położenie geograficzne kraju, wystawiające go zawsze na ataki Azji, tragedią od czasu ostatniej wojny światowej stało się zaryglowanie z wszystkich stron wojskami sowieckimi i ich sojuszników, zazdrośnych o suwerenność polityczną Polaków, nieskorzystających z walki o nie, nigdy właściwie nie liczących się jako siła zbrojna. Paradoks. Polacy — prawie dzieci Zachodu i zarazem jego uciążliwy balast. Najprężniejsi z przemyślnych, i sekularni zówa niezdolny w swym bezkrytycznym samouwielbieniu do dotrzymywania kroku innym, chorobliwie dumny, romantyczny, dla sąsiadów uprzykrzony swoją megalomanią bekart, wreszcie najwęższe warchoły cywilizowanej Europy. Równanie szeregu, tak nieodzowne we współczesnym świecie, solidarność z innymi — nie w walce zbrojnej, tam wystarczy zawołanie, aby kładli się pokotem bez myśli o własny interes — w codzienności, w jednostkowej anonimowej pracy, której suma jednak stanowi o bogactwie narodu, to niegodne zajęcie dla obywateli przez Boga i historię Panów, za jakich się uważają. Obecny tryb na Wistę nie jest niczym nowym. Kupiec Wokulski (bohater głośnej powieści polskiego pisarza Bolesława Prusa) na handlu z carskimi Rosjanami dorobił się fortuny i szacunku. Jeśli się dobrze przyjrzyć sprawom i uwzględnić naturalne bogactwa kraju, trudno pojąć, jak z przykładu tego można nie wyciągnąć jedynie dla siebie słusznego wniosku: Nie możesz wroga pobić, spróbuj się z nim utożwić — od stuleci podstawa brytyjskiej dyplomacji, jedyny wyjście w obecnej sytuacji Polski. Czy jednak stanie im na to roztępi? To naród tragiczny. Zapatrzone w ołtarze i mity. Uciekający się do upustu krwi, kiedy do dostatecznego życia tylko zwykłej pracy trzeba. Naród waleczny, rycerski, wart zachowania przy życiu. Piękny kwiat w oranżerii Europy, tak niestety nie przystosowany do jej klimatu. Zostawie go swemu losowi czy pójdzie w jego obronę na atomową zagładę? — oto szekspirowski dyalekt dzisiejszego świata”.

Przepisany na czysto zostawiłam artykuł na biurku. Cher wstaje wcześniej ode mnie, o dziewiątej musi być w redakcji, przed wyjazdem zdąży się z nim zapoznać. Bile sześć stron maszynopisu — rzecz rzucająca się czytelnikowi w oczy Tak dużo nigdy jeszcze nie napisała. U góry jej nazwisko, wystarczy podpisać i — w świat. Na załączonym karteluszu

ku poprosiłam, aby mnie nie budziła rano.

Oberwanie chmury. Wpadła do sypialni jak burza. Jeszcze nie do końca podmalowana, z maszynopisem w ręku, oszalała z złości. Jestem genialny! Wierzyła we mnie od początku, żeby jednak coś takiego! Omal mnie nie uduśiła. — Podbijemy Fleet Street, Adam! Ta przeklęta Forrest będzie się miała z pyszną Cheryl Regina Hopkins — nowa gwiazda publicystyki politycznej...

Ubiór nie przeszkadzał jej w wyrażeniu mi wdzięczności na gorąco, po czym, uskrzydłona, rozpięła się w zgiełku ulicy.

Barek świecił pustką. Pobiegłem do supermarketu. Wydarzenie trzeba uczcić. Zapelnilem wózek ulubionymi przez Cher ballantine, courvoisierem, czerwonym wytrawnym winem, szampanem, nie zapomniałem o pall mallach z korkowym ustnikiem, o anchoviesach, o solonych orzeszkach, którymi w Hiszpanii zadawała się bez umiaru. Jak uczyła to uczył. Dział ze słodyczami ominąłem. Iście trapiastowska dbałość Cher o figurę. Na śniadanie jako na miękką lub plasterkę gotowanej szynki wielkości znaczka pocztowego i grubości bułki, sok pomarańczowy, żadnego pieczywa; lunch zjadany u MacDonald'sa składa się nieodmiennie z krwawego, medium done befsztyku, bez ziemniaków, z mnóstwem jarzyn tylko; kolacja, czyli tutejszy obiad, uchodził mojej uwagi, jedynie dopuszczalne kalorie to w alkoholu. Nie zapomniałem o świeżych kwiatach.

Objuczony torbami wróciłem do domu. Torby uzmysłowiły mi powagę problemu lokomocji. Do czasu rozstrachu z Polcarem miałem do dyspozycji wóz służbowy (konserwacja, garaż, benzyna — bezpłatne). Uciążliwość w Londynie jest brak własnego samochodu. Pracująca Cher nie powinna więc się wечно męczyć.

Udałem się do pobliskiego auto-dealera wozami używanymi. Zatrząsienie marek, typów, ze światowymi wystrzałami włącznie. Z pierwszego rzędu napierał na mnie półwysięgowy porsche, szeroka, splaszczona morda gotowa do skoku na księżyc, pod ręką z liliowobiałym mercedesem cabrio, idealna rzecz dla takiej pary jak nasza udająca się w podróż pośrubą do Ameryki Południowej. Ale wedle stanu grobla. Dealer mnie już nie wypuścił. Mogę brać, co chcę, na jakich warunkach chcę.

W oko wpadła mi oliwkometaliczna dwupółletnia mazda, prawie jak nowa. Cher lubi ten kolor. Japońskie wozy są tańsze od europejskich, a klasa nie gorsza. Za gotówkę dostaliśmy go o piętnaście procent taniej.

Nadwreżyłem swój majątek. Dopóki nie zaczęłam zarabiać, będę musiał przykarbować wydatki. Teraz jednak Cher musi mieć swój samochód.

Dzień był bez chmurki na niebie, piękny. Siadłem w otwartym oknie na piętrze, twarz poddałem słońcu. Moje miasto Londyn.

Publicystyka — intratna rzecz na Zachodzie. Wzięty publicysta ma przedruki w licznych pismach tu i za oceanem. Stanley ma dużo do powiedzenia w redakcji „Chronicle”, warto go poznać. A może by tak małe coctail-party dla kilkunastu osób? Jako inwestycja w naszą przyszłość. Miejsca u Cher pod dostatkiem. Nie powiem, abym nie czuł się dumny. Cher nie dzwoniła. Jest na pewno bardzo zajęta. Przygotowałem stół do uroczystego obiadu. W ostatniej chwili przypomniałem sobie o świeczkach, które nam się skończyły. Candles — ładny jest język angielski.

Przed domem stał nasz nowy nabytek. Nie mogłem doczekać się Cher.

Było mi przykro, nie innego nie mogłem powiedzieć. I am really very sorry. To przecież moja wina, nie jej, Stanley ma rację. Piękne słowa, których się nasuchała, to chusteczka podana na otarcie łez. Jak mogłem o tym nie pomyśleć.

Już nie płakała.

— Dlatego, powiedział, nie wyrzuca rzeczy do kosza. Zatrzymuje. Jako zadatek mojej lepszej przyszłości. Wypłaci nawet wierszówkę — rzuciła krótkimi zdaniem. — Skoro jednak stać mnie na coś takiego, to wspaniale, muszę tylko przestawić celownik.

Nie rozumiem.

— Ujałeś rzecz historyzoficznie. Mogłeś tak, gdyż znasz rodowód kraju, masz wartościowy, powiedziałabyś, anglosasko-krytyczny stosunek do obiektywnych przyczyn nieszczęść swego narodu. Ale nie w tym rzecz. O dzień dzisiejszy chodzi. O, jak by to powiedzieć, wielką politykę...

— Wciąż nie rozumiem.

Zgniotła papierosa.

— Nie zgrywaś się.

— Ale ja naprawdę nie kontaktuję! Mówisz podpowiadaniem, dla mnie niezupełnie zrozumiałymi.

Ruszyła z fotela pod okno, złamany papieros poleciał paraboli do kominka. Obróciła się twarzą do mnie.

Nie zmuszaj mnie do lania kawy na ławę, nie sądzę, aby między nami było to potrzebne. Wielka polityka. Coś, czego na przykład nie robią takie Albania czy Księstwo Lichtenstein.

Taka kulawa Polska też nie.

Nie muszę ci chyba klarować, że istnieją dwa przeciwstawne sobie obozy ideologiczne; że celem obu jest zdobycie dominacji nad światem; że nie mogą przy obecnej technice zniszczenia rozstrzygnąć walki na swoją korzyść zbrojnie, bez obawy o własną zagładę, robią to środkami politycznymi, że komunizm okazał się systemem akademickim, zdającym egzamin tylko w próbówce nie zdolnym do utrzymania się u władzy bez terroru, że...

Tyle to wiem choćby od trybunów z Hyde Parku. Ale co dalej? O co tobie, a raczej Stanleyowi, ponieważ dorywałam się, że prezentujesz mi jego punkt widzenia, konkretnie chodzi? Zalatwmy to krótko: eo on chce, abyś ty napisała?

Zbyt kaskadnie to wyszło, aby nie poczuła się dotknięta. Spoważniała.

Nie zasłuchiwać na tę ironię. To nie fair wobec mnie, Adam.

— Przepraszam. Chłapnęło mi się bez intencji. Przepraszam.

Sprawy uczuciowe między nami zostawiam na boku — podjęła rzeczowo. — Ubiegasz się o zezwolenie na stały pobyt w tym kraju. Po powrocie z Immigration Office w Croydon mówiłeś o przerażającym cię tłumie petentów wyciekających pokornie w kolejkach na słowo nadziei na otrzymanie prawa azylu. Trudno, formalnościom musi stać się zażość, a żaż, że to dopiero początek procedury. Panowie z tego urzędu zadali ci z pewnością kilka niedyskretnych pytań, jeżeli zaś nie za-

dał, to bądź na nie przygotowany przy następnej pogawędce. — Spojrzała na mnie błagalnie. — Ach, Adam, przecież wiesz, że chodzi o naszą wspólną przyszłość i jeżeli myślisz o niej tak samo poważnie jak ja, to na jakąś postawę musisz się zdecydować. To dla ciebie w tej chwili artykuł bezwzględnie pierwszej potrzeby. Rozumiesz mnie?

Przechwyciła moje zamyslenia.

— Ty mnie nie słuchasz...

— Słucham.

— O naszym wspólnym życiu mówiłam, a ty... No powiedz?

Ostatnie wątpliwości opuściły mnie. Ona ma rację. Albo w tę, albo wewtę.

Podszedłem do okna i pokazałem jej oliwkowometaliczny samochód zaparkowany na wprost wejścia do domu. Wyciągnąłem wisioręk z kluczykami. — Myślę o tym jak najbardziej — powiedziałem. — Ta mazda tam jest twoja. Znana publicystka Cheryl Regina Hopkins nie może jeździć kolejką!

Cher ma rację. Czy proszę o schronienie przed terrorem z własnego wygodnictwa, a brudną robotę zamierzam pozostawić innym?

Wyhamowałem. Dosłownie na ostatnich centymetrach, dobrze, że policjant tego nie widział. Przechodnie na zebze skarcił mnie wzrokiem. Cher zbladła. Kłaniając się

nie. Podpytał o miejsce zamieszkania, aby wiedzieć, którzy się poruszają, aby nie wejść na nią. Mojej byłej land lady powiedziałem, że wyjeżdżam do Australii — im dalej, tym lepiej, jeśli nie zasięgała u niej języka, to mam spokój. Do czasu nadziania się gdzieś na nią.

Nie interesowałem się Polcarem. Po zapoznaniu się z telexami opróżniłem szuflady biurka i zwinąłem zagle. Moje pobory może pan likwidator przekazać na budowę pomnika kraju rozwinętego socjalizmu. Z gazet wiem coś niecoś o tarapatach Polcaru, Brytyjski agent, pod którego szyldem chciano podbić tutejszy rynek, tytułem zabezpieczenia swoich roszczeń obłożył sekwestrem całą tę blachownicę na kółkach, wystawił masę rachunków z różnych tytułów nie objętych umową, ale i też umową nie wyłączonych z zakresu jego uprawnień — Peter Logan uprzedził przed tym złodziejem. Strasznych pieniędzy chce. I wszystkich po kolei, włącznie z byłym ministrem, który pani małżonko fundował gratisowe wczasy w Tyrolu, a za jej ukochanego synalika płać kasynowe dług, nie wyłączając mego starego, trzyma w łapie. Rzeczpospolita Ludowa zapłaci. Rzygać będzie krwią, ale zapłaci. Prawnik przysyłany z Warszawy może mieć złudzenia, lecz tu jest Anglia, Szanowny Panie. Kraj twardych praw, nie przekupnych, wystawianych każdemu obywatelowi do wglądu.

Facet

(Fragment powieści)

LEONARD

niedoskiej ofierze zbladłem bardziej niż Cher. W zamysłonej osobie, którą o mało bym nie uderzył, rozpoznałem Maigorzate.

Gdyby nie mężczyzna z tyłu, ściągający ją w ostatniej chwili na siebie, zrobiłaby krok, który by wystarczył do potrącenia i upadku. O konsekwencjach lepiej nie myśleć. Uszkodzić przechodnia na zebze, to galery i ruina materialna, jeżeli nie uda się zalać sprawy z poszkodowanym od reki i nie ma się ubezpieczenia. Chętnie bym sam podstał się pod maskę wozu jakiegos milionera.

Nieprzytomna dziewczyna. Nie zwracając uwagi na mój wóz i swego wybawcę, zniknęła w narażonym magazynie spożywczym.

Wyciągnąłem papierosa.

— Czujesz się źle, Adam?

Nie. Po prostu głupio mi. Przepraszam. Więc ona jeszcze tu! Zajacowa, jak mi wiadomo, wróciła do kraju. Oddelegowanie meza skończono, likwidacja Polcaru w rękach prawnika wysłanego przez nowego ministra do sprawy „zbadań sprawy”. Starocie w zmienionym opakowaniu.

Zajacowie mieszkali w innej dzielnicy, co ona tu porabia? Aha, gdzieś tutaj mieści się Studium Lingwistyczne dla cudzoziemców czasowo przebywających w Wielkiej Brytanii. Czyli że rodzice wyjechali, ona zalała sobie przedłużenie pobytu do końca semestru. Straszliwie zmieniona w ciągu tych dwóch miesięcy.

Cher kontynuowała wyliczanie gości zaproszonych na coctail-party. Takie prawdziwego zdarzenia, tym razem. Gości już zaproszonych.

O Bryanie Nortonie już mówiłam. Mówiłam, prawda?

Skinalem głowę.

Będzie dalej krytyk teatralny Jonathan Sellers, okropnie cięty typ, nie chciałabym być jego wrogiem, jak się na kogoś uweźmie, koniec; będzie Jim Reed, mój były przełożony w dziale Iberystyki; będzie Reginald Austen, facet właściwie w redakcji bez określonego przedziału, plomba na dziury w zębach, liczący się u starego, nie wiem czy nie gotujący się po cichu do wyskoku za ocean; będzie...

Najlepiej sprawdzić w Studium. Telefonicz-

du. Z prawem można tu wojować. Można prawo zaciągnąć do sądu, nie wolno jednak przykrawać go do potrzeb własnej dupy, dla pokonanych zaś w boju z prawem nie ma litości.

— „Będzie też Cecil Cransworth. Facet jest prawnikiem po kądzieli, nie pamiętam, sir Henry Ponsonby'ego, sekretarza prywatnego królowej Wiktorii. Ciekawa rzecz. W pseudonimie autora rewelacji o zakurtnowych historyjkach na zamku Balmoral, opartych rzekomo na materiałach źródłowych, doszukuje się właśnie jego. Nie dziwiłabym się. Inteligencja wyższego rzędu; cynizm do kwadratu. Milczenie w tej delikatnej materii pałacu Buckingham ma swoją wymowę. Królowa Wiktorii. Symbol potęgi Imperium i wzorcowe kobiecej cnoty. Mała, gruba, stara, obwisła, nie wyobrażam sobie jej rozebranej i... kochanek. Dobrze sobie, nie chciałabym być w jego skórze; będzie dalej... Nie rozpraszaj ta wyliczanka twojej uwagi, Adam? Taki ruch.

— Bynajmniej, słucham uważnie.

— Nie nudzą cię te ploteczki? Takie babacie to, prawda?

— Ploteczki? Raczej pereleczki. Niezwykle opisowe. W swoim wykonaniu zaś wręcz poematy.

— Jesteś kochany.

— Arcyciekawe.

— Dziękuję, Adam.

— A jak rozkładują napięcie.

Przytuliła się do mnie.

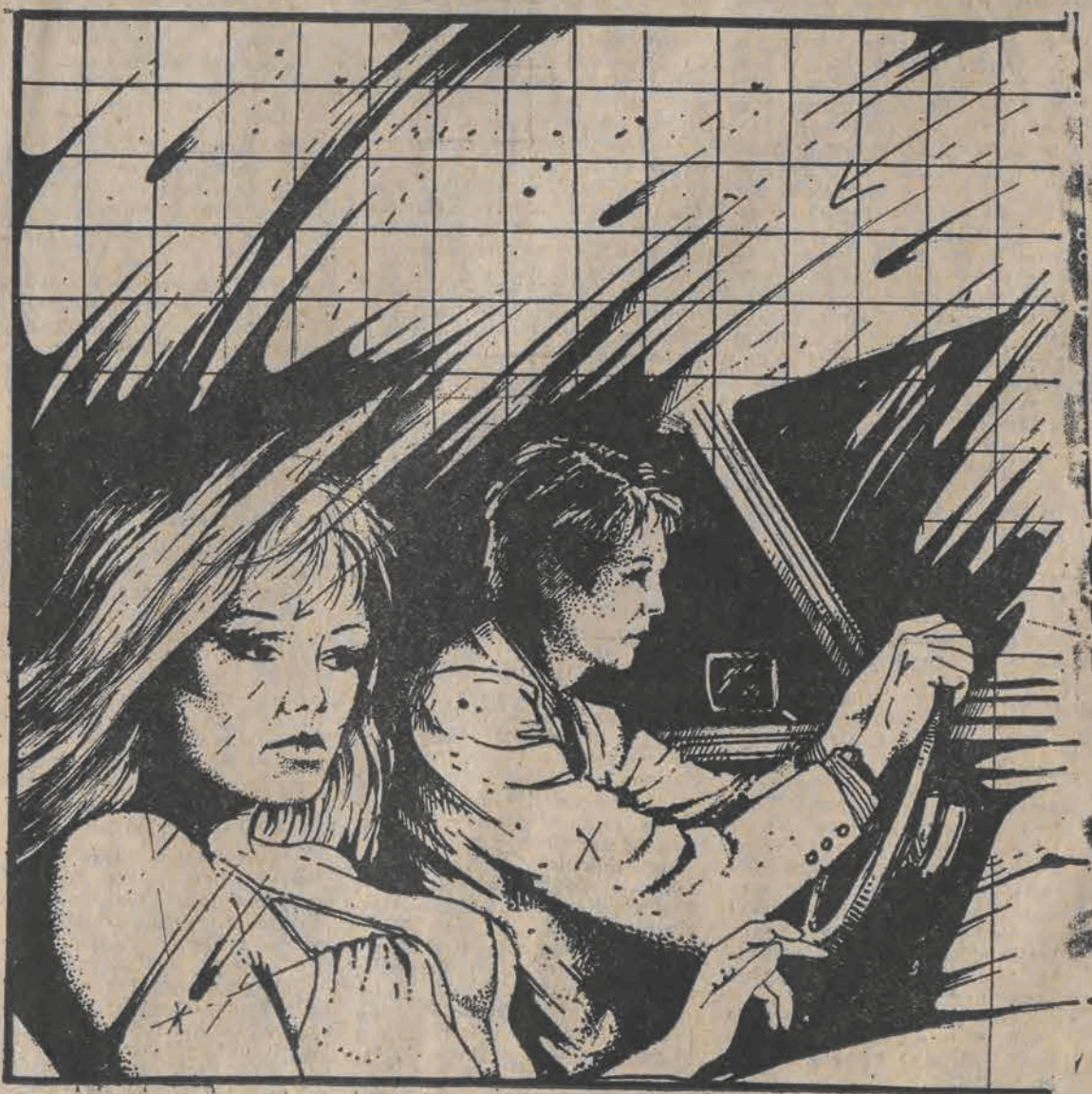
— Jesteś taki zupełnie, zupełnie inny od innych. Słodki jesteś. Uważaj na tego wariata, tam! Rozwala się, sukinyń, jakby cała ulica dla niego. Jakies kolorowe bydlę albo kowboj z Teksasu na pierwszym podboju starego kontynentu. Nie, nie Amerykanin — Australijczyk. Ale to na jedno wychodzi; ma koziorożca w kłapie, zauważyłeś?

— Cały czas miałem go na oku, Cher. Mów dalej.

— Skończyłam na Cecilu Cransworthcie, tak?

— Dokładnie, Cher.

— Dziękuję. Następny z zaproszonych to...



Renata nie powie niczego wprost, nie wstępuje się do mojej decyzji, ale swoje myśli. Suche fakty, współczuję jej przyszłemu mężowi. Studiuję — nomen omen — handel zagraniczny, dziś na pewno łatwiej wyboru. Powinna była iść na prawo. Urodzony prokurator, za każde świństwo żądałaby obcięcia rąk. Stary nadal w kiclu, o jego pryncypale nie napomyka. Przypominam sobie pana ministra z jednej popijawy u agenta, z którym PRL ma teraz tyle uciechy. Ważny był ten światły członek ekipy ludowego rządu, niezmiernie upodobał sobie zaimek „ja”. Ja kupuję, ja zdecydowałem, ja nakazałem. „Im”. Powyrastali ludzie w ojczyźnie. Nie na wieki, co prawda, bo cały majątek, wszystkie konta bankowe mego starego w kraju i za granicą, zablokowane (że też nie wyciągnęłam od niego więcej!). O matce, poza pozdrowieniami, ani słowa. To milczenie jest głośniejsze od ryku trąb jerychońskich. Ona zawsze mówiła. Ona wszystko wiedziała z góry. Już tylko dla sprawienia jej frajdy stary musiał dać się zamknąć. Ale co dalej z nim, tego mu przecież nie żytyłem. Co dalej? Co dalej?

— „Będzie wreszcie — zważ, że wymieniam go na końcu listy — Fred Gardiner. Tak, on! Ten sam, co jako nasz korespondent z oddziałami wietnamskimi wkroczył do Kampuchy, czy jak jej tam. Nieszczęsny naród. Nie znasz jego relacji z okrucieństw, z jakimi się tam spotkał, gdyż ciebie tu jeszcze nie było, ale przechodziły wszelkie wyobrażenia. Komuniści. Naprawdę nie rozumiem tej ideologii. Nadziałam się na niego przy herbacie i wyobraziłam sobie, nie odmówił. Złożył mi gratulacje. Skąd taka znajomość problemu? dziwił się. To wpływy facet. Pytał o ciebie.

— Tak? — Słyszałam o nim. Awanturnik. Podobno okropnie cięty na babę.

— Chętnie, powiedziałam, poznam twego przyjaciela. Czy wiesz, że jego ojciec podczas wojny światowej latał z Polakami w tym samym dywizjonie myśliwskim? Dużo mu o was opowiadał.

— Stare dzieje.

— Ale niezapomniane. A wracając do rzeczy: łącznie lista obejmuje dwadzieścia sześć osób, nie tak znowu wiele. Co sądzisz o malej rezerwie; trzeba się liczyć z nieprzewidywalnym absencjami, prawda?

Tłum. W duchu obliczyłam koszt alkoholu, zakąsek, papierosów, kelnera do obsługi gości, którego się wynajmiesz z dobrego lokalu, sprzątaczkę — minimum czterysta funtów. Po przedni spód, o połowę mniejszy, pochłoniął prawie trzysta. Ale ten jest bardzo ważny dla Cher, być może także dla mnie. Tu trzeba być na świętniku. Podejmować trzeba u siebie liczących się ludzi, bywać samemu ich gościem; trzeciej drzwi prowadzą na ulicę.

— Mam tylko jedną uwagę, jeśli wolno. Sami mężczyźni, jak dotąd. Jeśli party ma być udane, trzeba im paru samicek.

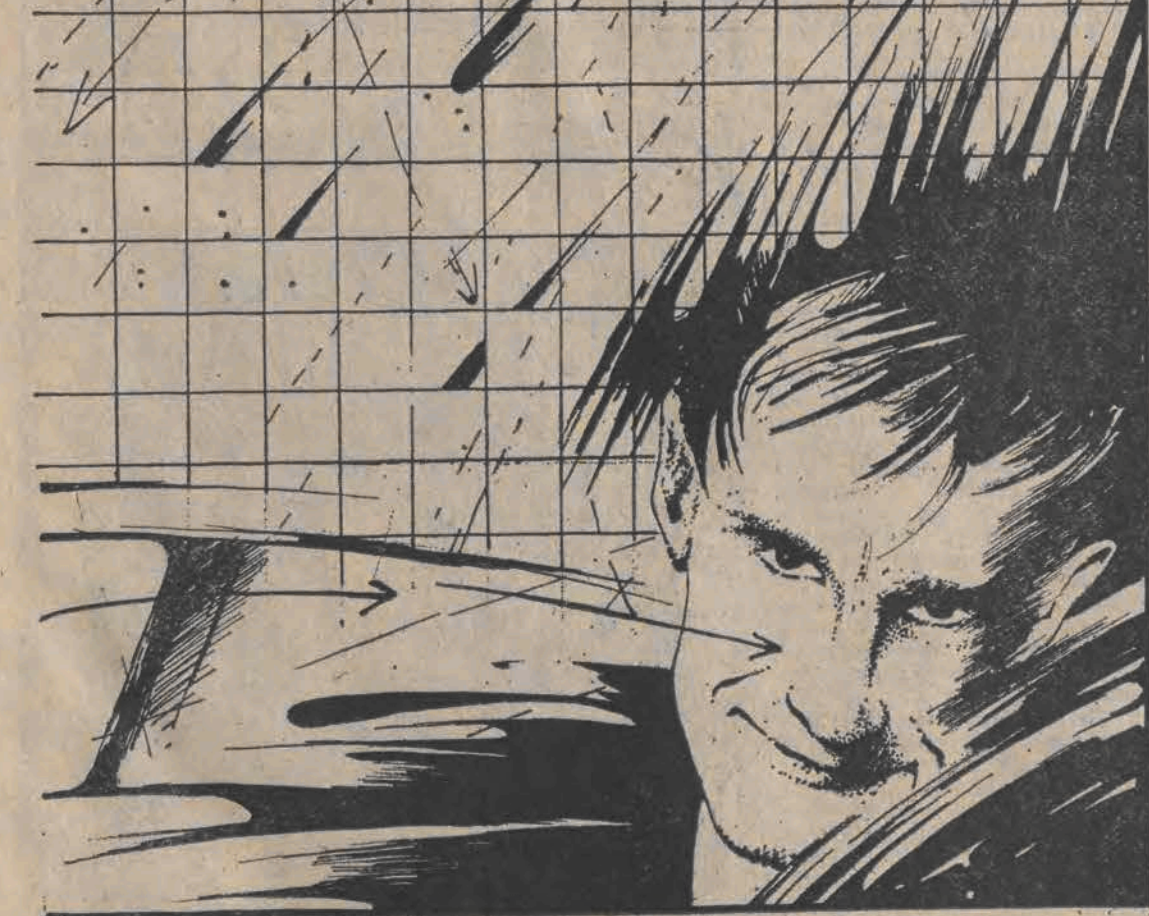
— To też zostawiłam im swobodę doboru. — Westchnęła. — Samicek, powiedziałaś... A nie domyślasz się, że jestem o ciebie zazdrosna? Opuściłam żaluzje od garażu, odebrałam od niej torby z zakupami. Znalazła dla siebie pantofelki do nowej sukienki na nasze party. Argentyńskie. Piękne, kupiliśmy dwie pary różniące się tylko kolorem.

— Zapomniałam — powiedziała. — Zaprośiłam też Sahrę. Mam powody, proszę chwilowo nie pytać, aby jakiś czas jeszcze trzymać ją od nas z daleka. Ale uparła się wreszcie poznać ciebie.

— Tak? — Siostry nie przepadają za sobą, nie umieją znaleźć „wspólnego punktu trafienia”, jak mawia Cher. — Miko mi. Przyjdzie sama czy z przyjaciółmi?

— Kto ją tam wie! Ona taka nieregularna. — Pogroziła mi paluszkami. — Ale uprzedzam: Sahara jest ostra i zdolna do kazirodztwa.

— Proponujesz appeasement, Cher, ot co proponujesz. Monachium — Chamberlain — Hitler, uczono o tym panienkę? Danie panu z wąsikami wolnej ręki w Czechosłowacji w zamian za pozostawienie nas w spokoju — ile nas to później kosztowało! Można tak myśleć, czemu nie, lecz nie na łamach wielkonakładowego pisma. Masz do mnie pretensje o głosowanie na kolegium przeciwko oddaniu ci spał.



Rys. Janusz Szymański-Głowa

Powtarzam jeszcze raz: zresztą napisana polityka, z którą się nie zgadzam.

Ujęcie problemu obce naszej specjalistycznej wąskotorowości. Nowatorstwo. Jesteś wspaniała, Cher.

Nadstawiałem uszu. Przyjemne. O mojej pracy mówiono.

— Słucham cię, Cher, czytam cię i porównuję języki. Ten z twoich artykułów z tym mówionym. Niepodobne. Rzadka erupcja bogactwa stylów. — Cecil Cransworth podniósł drinka. — Gratuluje.

— Zarozumialec — syknęła Cher. — Nie znoszę go.

— Nie denerwuj się, kochanie. Nie ma o co. — Tak mówisz. — Nie mogła się uspokoić.

— Bękart! To pewnie jego własny prapradziadek był tym facetem, co to w Balmoral musiał rzucać starą Wikcie.

Wyglądała ponętnie w swym nieszczęściu. Od trzech dni nie mówimy o niczym innym jak o tych przekiętych gościach.

Cher złościła się na Sahrę. Party w połowie drogi, jej wciąż nie ma. Sama się wpraszała. Z nią zawsze tak. Smarkula! Myśli, że będą z nią wydzwaniali. Okropnie się pomyliła.

Niespodziewanie pocałowała mnie w usta. Potrzebowałam tego. Przyznania się do mnie na oczach swego środowiska. — Nie masz pojęcia, jakie to podstępne. Chciałabym się mylić. Na tapecie jej wyobraźni jesteś ty albo...

Rozeszła się po grupkach rozpolitykowanych mężczyzn, którzy poprzetykali kobiety. Wolna iracko-irańska. Ceny ropy naftowej poszły w górę. Jak zareaguje Związek Radziecki, przecież to u jego drzwi. Bo Stany Zjednoczone nie pozwolą temu wariatowi Chomeinemu podbić trzy czwarte światowych zasobów nafty.

— Daliśmy się Jankeom wykiwać z interesu — stwierdził Jonathan Sellers, którego specjalnością jest krytyka teatralna. — Po prostu wykiwać. Związując imperialne żagle mogliśmy być oddać wszystko za wyjątkiem tego ropożnego pachu na wschód od Suez. Takie jest moje zdanie.

Cher chwyciła mnie za rękę.

— Przepraszam cię, Adam. Jako pani domu muszę zająć się gośćmi. John Upland jest taki sam...

O wszystkim pomyśli.

William Charles Whitney — Bill ciągnął swój wywód:

— Słowianin to urodzeni anarchiści. Czytałem. Żadnego respektu dla władzy. Rosjanin rzuca na cara Aleksandra bombę. Jugosłowianin strzela śmiertelnie w następcę tronu księcia Rudolfa i w jego małżonkę, prowokując tym Niemców do wojny; Polak... jak mu tam... Anarchiści mają w krwi. Ale pod teźmi Cher podpisuje się oboma rękami.

Towarzystwo dopisało. Z wyjątkiem zastępcy naczelnego Samuela Goldinga. Do pełni szczęścia brakowało Cher tylko tego jednego. Łudziła się, że jeszcze przyjdzie. Mierzyła wyżej — na współzawodniczą pisma, wpływowego na Fleet Street sir Ashcrofta, ale Stanley jej to wyperswadował.

Stan, Stan, Stan, co słowo to on. Nie przypada mi do gustu jego wlochaty łapa szukająca stale czegoś na jej obnażonym ramieniu. Maniera, zbagatelizowała to Cher, on ze wszystkimi kobietami tak. Gdy się nadejmuje na półmetek setki... Odbardziła mnie swoim oddanym spojrzaniem. — Jakże to ma znaczenie, Kochany?

Stanley pochwalił moją decyzję.

— Cher mówiła, że zrobiłeś ten krok. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo: wóz albo przeczep, mężczyzna nie może inaczej. Ale przepraszam cię, mam słówko do Ralph'a Alena.

Byłoby dobrze dostać się w to towarzystwo. Sialomem przez salon przedziiera się ku mnie Numer Jeden naszych gości. Pamiętam: Oxford, Nagroda Roku za Kambodżę, srebrny medalista olimpijski z Tokio, awanturnik, podrywacz — Frederick Louis Gardiner. Do twarzy mu z tą siwizną.

Przy okazji zaproszenia na party Cher poprosiła go o gazety z jego sprawozdaniami wojennymi. W Polsce nie były drukowane. Następnego dnia gonić dostarczył do domu e-

gzemplarz książki w sztywnej płócienną okładce, z barwną obwolutą, zadedykowanej: „Przyjacielowi z Polski, Adamowi Ostoję”. U góry dużymi literami jego imiona i nazwisko, u dołu czcionki tego samego kroju nieskładnie złożone w słowa: „CAMBODIA — HUMAN MISERY”, pośrodku skrwawiona maczeta w rozłupanej ludzkiej czaszce.

Balem się rozmowy z nim w cztery oczy. Ciężka artyleria. Jestem czytany. Z wszystkich hobby — zważywszy moje wygłodnienie — każda wolna chwila oddawałam czytaniu książek, rzeczy bynajmniej niełatwych. Poza tym nie opanowałam jeszcze ich sztuki mówienia na takich spędach o niczym i nie na temat.

— Przeczytałem twoją książkę — powitałem go. — Pokłaniam ją w biegu.

— Dziękuję, cała przyjemność po mojej stronie.

— Wstrząsające rzeczy. Moim zdaniem...

Nie był ciekawy mego zdania o stronie merytorycznej swojej książki.

— Wybieram cię do twojego kraju — powiedział autor „Cambodia — Human Misery” bez wstępnych nijakości. — Kwestia tygodnia.

Wyższy ode mnie. Nie jestem przyzwyczajony do patrzenia pod górę.

— Tak? Nie wiedziałem.

— Jeżeli przerzuciłeś moją rzecz uważnie, to wiesz, że byłem w całej Południowo-Wschodniej Azji, w Angoli, Etiopii, Związku Radzieckim, na Kubie; w Polsce nie byłem. Co byś mi doradził zobaczyć?

Co bym mu doradził?

W pierwszym raporcie napisze, ich zwyczajem, że mister Adam Ostoję, Polak, który odmówił powrotu do kraju, obecnie w Londynie, opowiedział mu już o represjach stosowanych przez komunistyczny reżym, ale to, co zastał na miejscu... itp., itd. Nie mam powodu do oszczędzania łobuzów. Aresztowany ojciec, zabór rodzinnego domu, wydalenie z uczelni — ofiarą politycznego prześladowania jestem. Ale szopki opowiedziane w Immigration Office na bok. Co bym mu powiedział?

— Hm... To trzeba, widzisz, na miejscu, Fred. Polska ma swoją specyfikę, u nas nie mogą bez rękawiczek, bo zaraz rwetes, z dystansu.

— Dlatego ja, Przeczytałem kilka książek o twoim kraju. Nie macie, jak mi się wydaje, wyrobionych nawyków „lecznego współżycia”. Jak ty, Adam, to widzisz?

— Mam słówko do Adama — wdałował się między nas Bill Whitney. — Jeśli pozwolisz, Fred?

Gardiner wypuścił ustami łańcuch kunsztownych kółek z dymu, w których na upartej można by się doszukać dużych D i C. — Tobie Bill, zawsze.

— Dziękuję, Fred. Ja na jego miejscu — mówił do nas obu — pchnąłbym się do Australii. Spędziłem tam wiosną całe dwa tygodnie. Bomba, mówię wam. W starej Anglii nie ma przyszłości dla młodych, a teraz jeszcze, z tą babą u władzy, leżymy na całęgo. A ty, Fred, jakie miejsce do uwięcia sobie gniazda — ka na stałe zasugerowałbyś Adamowi?

Muszę spytać Cher, gdzie poznała to prymitywne bydlę. Nic mi nie zrobił, a już go nie znoszę.

W gronie pań zajętych zawłósciami propozycji jesiennych paryskiego domu mody Diora przy głosie była pulchna Nona Saturday.

— Mini twierdziła — już nie wróci. Przeżyła się. Czy wyobrażacie sobie, dziewczęta, w mini? Bo ja nie.

Ja też nie widzę ciebie w mini, wyglądało z miny jej przyjaciółki Clary Hilton, która jednak okazała się na poziomie i tego nie powiedziała.

— W mojej rodzinie długo zachowujemy młodość — zdradziła przyjaciółkom Nona. — Dziedziczne.

— W mojej też — pochwaliła się Clara. — Dla mojej babci nie ma ciekawszego tematu niż mężczyźni.

— Oh, moja droga, nigdy w to nie wątpiłam — przyznała Nona. Obecny trzeci mąż Clary, Bob, w krótkim pożyciu z nią stracił na wadze dziesięć funtów. Podniosła lampkę.

— Zdrowie hormonów!

— Zjedźmy z siebie, dziewczyny!

— Jestem de-de-ce-en-de! De-de-ce-en-de! — kręciła rozkosznie swoim zgrabnym tyłkiem młodzianka Mary Cadogan z działu fotografiki „Evening Stars”. — Ja piję na twoją kondycję, Bill!

Adam, Fred, skończcie konszachtować za naszymi plecami! — zaapelowała Eileen. — Chcemy się bawić. Nie ma w tym domu jakiegos staromodnego gramofonu, z którego tuby dalały by wycisnąć coś do tańczenia?

Przepraszam towarzystwo.

Cały dzień nieustannie na nogach; z każdym choćby lyczek nawet tak rozcieńczonej whisky, jak ja piję, to morze alkoholu. Podcięło mnie. I ta sympatia do dzielnego Adama. „Polska — natchnieniem narodów”, powiedział prezydent Roosevelt, czytałeś? Nie mam się co martwić, nie zgine — klepięcie. Wszystko będzie O.K. — klepięcie. Przyjaciół nie zostawimy swemu losowi — klepięcie. Jesteś fantastyczny — klepię... A w ogóle, gdzie się podziewa Cher?

Zmieniłam głowę zimną wodą, zmieniłam koszulę. Cholera! Wydałem tyle pieniędzy, a o uzupełnieniu bieżyni, o jakimś nowym garniturze nie pomyślałam.

Sławna dziennikarka Cheryl Regina Hopkins i jej najbliższa rodzina. Wyobrażam sobie ojca Cher: melonik, laska z ebonitowym łebkiem, krawat — nie, nie krawat — mucha w imperialne czerwone grochy, sztywny koltierzyk, szczerka wąsa pod nosem, czarna obłąka marynarka, spodnie w prążki. Noblesse oblige. Ciocia zapisała córce taki majątek... Nie widziałam go, w telefonie usłyszałam jego głos, od którego ścierpa mi skóra, jako przyszłemu teściowi chętnie podam mu rękę, a boję się tego. Jej matki sobie nie wyobrażam, nie boję się jej, jego tak. Więc taka rodzina, taka ciocia, taka matka, taka córka i ja w garniturku z polskiego haka, bo mając forsy uważałam, że moje sto osiemdziesiąt pięć wystarczy do zdobycia świata. Niedobrze ze mną, tracę animusz.

— Strasznie duży dom — powiedział zza drzwi łazienki damski głos, który należał do Nony Saturday, a drugi, co jemu przytaknął, do Clary Hilton. — Czy tę Cher nie prześladowa przypadek cholerny nadmiar szczęścia? Wybrały się pewnie na rekonesans po wioślach Cher. Kiedy ją poznałam, młoda kobieta wsiadająca przez pomyłkę do taksówki zajętej już przeze mnie, nie pomyślałam, że ona zginie w takim łukusiu. Ta jej

cioteczka musiała mieć główkę! A może sarna miała cioteczke, która jej to zapisała w spadku, i tak rzecz pokoleniowym łańcuszkiem ciągnie się dalej.

Gdzie się podziewa Cher? Aha, wykiła się pod kominkiem z Cecilim Cransworthem. Z tym bękartem, którego prapradziadek... Nie jest odporna na krytykę.

Zabawię się dla relaksu w wybór Miss Party.

Stwierdzenie poza dyskusją: brytyjskie dziennikarstwo na ładnych nogach stoi. Kropla alkoholu dodaje panom uroku, ale w zamian wytuskuje z nich prawdziwą naturę. Brr, nie chciałabym dostać się w niektóre łapki. Niebrzydki jednak, o! Nie! Zapominam więc o Wenus z Milo, o ideale obwodów dziewięćdziesiąt-sześćdziesiąt-dziewięćdziesiąt, biorę tak jak leci. Cher w swojej kreacji do kolan jest poza konkurencją. Wrzosowa tunika na klip-sach przewiązana w pasie srebrnym kordem, w uszach coś żróżdanego, gołe, pływackie ramiona, których Stan nie może się namasować, smukła całość osadzona na argentyńsko strzelistych pantofelkach. Gdy się ubierała — stała przed lustrem w czarnych bikini, bez biustonosza, przy swoich dużych piersiach, ona nie nosi biustonosza! — ledwie się pohamowałam, aby nie rzucić jej na łóżko. Naprawdę piękna. Ale teoretycznie biorąc, którą z tych pań, jak by to powiedzieć... My, mężczyźni, mamy na pewno sprawy swój język, niezwykle prosty. Więc którą bym?

Pytanie dla pytania. Poza Rhodą, przewrotną Dianą — kochanką cynika Cranswortha, żoną Austena, beznadziejnie głupią, ale niemożliwie seksy Mary, i od jeszcze głupszego od niej Billa, w rachubę wchodzi Eurice Stanford. Brunetka jak Cher, jej figura, tylko jak gdyby pełniejsza w biodrach.

Czym to zajęty jest mąż takiej żony? W bawialni sprząca się z facetami o konie. Obstawiał tandemem Cristál i Glory — raz w tej, raz w odwrotnej kolejności (obie wygrały poprzednie gonitwy w Epsom), w Newmarket przyszyły ostatnie. Właściciela stajni winien był zaskarżyć o zwrot przegranej.

Konie Eunice nie interesowały. Już wcześniej spostrzegłem, że kombinuje nad podejściem do mnie. Wymanewrowała się ze swego towarzystwa. Lato spędziła u swego wujka w Kalifornii. Naturalnie nie znam go, nieważne. Ma plantację pomarańczy wielkości tutejszego hrabstwa. Ameryka nie jest zachwycona. Oni siadają tam do posiłku w kapeluszu! A jak polscy plantatorzy?

— W dziewięćdziesiąt latach czytałam książkę jakiegos waszego autora. Coś o antycznym Rzymie lub Grecji, nie pamiętam. Nie mógłbyś przypomnieć mi jego nazwiska?

Ona jest seksy, inaczej niż Mary. Kiedy z jej twarzy oczy spadają, poprzez wzgórze pierś, na dysk brzucha, stamtąd robią rundę wokół bioder, może się zakręcić w głowie. Brzech kobiety, ta jego tajemnica! Ci kalifornijscy właściciele gajów pomarańczowych musieli niedowidzieć.

— To była niesłychanie ciekawa rzecz — mówiła Eunice. — Nie mogłam się oderwać. Miała tytuł... też zapomniałam. Pomóż mi, Adam. Jak z taką aktywnością jak twoja chcesz wygrać z Rosjanami?

Przemyciła mi do ręki papierową serwetkę z numerem swego prywatnego telefonu.

— Pojutrze będę sama — szepnęła. — Nat wyskakuje samochodem do Bristolu, wróci następnego dnia. Ale jeśli ci wygodniej, możemy w hotelu. Pa. Strasznie udane party, wiesz moja droga!

— Ja cię szukam, a ty... — syknęła Cher. — Co ta podrywaczka od ciebie chciała?

W nerwach Cher z niczym nie liczy. Party trzyma ją non stop na rękach.

— Nic, rozmawialiśmy. Jej wuj w Stanach.

W oczach miała ogień.

— Nie daj się brać na wuj!

Kazała mi iść za sobą do pokoju na piętrze i na parapecie okna, błyskawicznie — pożar nie był do ugazania słowami — dała mi za liczkę a konto tego, co obiecała dać mi Eunice w swoim małżeńskim łóżu lub w hotelu, skoro tylko jej ukochany Nat wyskoczy samochodem do Bristolu.

Wychodziłem do gości, jak przyciągnęła mnie na powrót do parapetu i z dawno nie byłym zapamiętaniem podstaawiła mi swoją czarę znowu. Na dole pół setki ludzi, gardiowe śmiechy wszystkich widzących kobiet, ona głucha na cały świat, zamknięta w swej pogoni za szczęściem wynykającym się z rąk, w ostatniej chwili złościwie uciekającym — tak, ona, która miewa orgazm za orgazmem, nie mogła dobrać do mety; wreszcie wściekła do łez, z jakimś obrzydzeniem oddepnęła mnie od siebie, szybko się uporządkowała i kazała pierwszemu wracać do tej holoty. W niespełnieniu bezwzględna jest do okrucieństwa. Niedogadniona. Nigdy nie wiem, co z niej wyskoczy. Nerwy i ta jej niecierpliwość: ona wszystko musi mieć od razu, już, gdyż jutro nie będzie dnia. Niecierpliwość i dziecięca żądza rzeczy: wszystkie klocki moje albo nie bawimy się. Żądza rzeczy i pycha: JA! Pycha i pogarda dla wszystkich tych tam: jakie to może do forowania się do przodu, gdyby nie to, że bez zwykłej cierpliwości — dręczące. Samuel Golding zignorował ją. Cholerna Anna Forrest wypięła się na jej pisanie. Cecil nie ustępuje od swego negatywnego zdania, zapowiada wojnę na całego. Party nie wyszło. Wyszło — poza siostrą zameldowała się cała lista zaproszonych, z rezerwą włącznie, ale jutro nie pochwal się nazwiskiem, które widnieje w „Who is Who”. Stanley się nie myli. Wszystko po kolei, Złotko — „Złotkiem” ją nazywa — tak jest porządek rzeczy. Biedna Cher, nieba — bym jej przychylił. Co myśle o powiedzeniu jej rodzicom hello? U nich w domu? usłyszałam w drzwiach. Przyjemniejszego pytania nie mogła mi zadać.

Miłość nasza jest tak wielka. Dzika jest w spełnianiu, wyszukana do wyuzdania bez granic, bez hamulców, rozgrywana na wysokościach niebiańskich i w otchłani piekła, poziom nieważny, bo dla miłości takiej jak nasza nie ma jednego sztychulca sposobu ani stref zakazanych; to dopiero ona, Moja Święta Cher, wydobyla na wierzch najcięższe tajemnice ciała kochanków, ukazała mi bogactwo sztuki miłosnej. Jesteśmy o siebie tak zazdrośni, że to nie mogło być prawdą. Ale patrząc w trakcie tego stosunku w grymas cierpienia na jej twarzy wydawało mi się, że ona moimi myślami odbywała go z kimś innym. Na pewno się myle.

Ten szum w głowie. Chyba wypilem o kroplę za dużo.

M

Młodzi narzeczeni i małżonkowie zafascynowani są seksem. Najchętniej wcale nie wychodziliby z łóżka.

Stan taki trwa zwykle kilka lub kilkanaście lat. A potem niepostrzeżenie przychodzi rutyna prowadząca do obojętności, znużenia i zniechęcenia. Robią to coraz rzadziej, od przypadku do przypadku, aż w końcu stają się prawie całkowicie abstynentami.

Stopyniowy zanik kontaktów seksualnych jest ważną przyczyną kryzysów małżeńskich. Starszym parom wystarczy uczucie i świadomość wspólnego losu, natomiast osoby młodsze nie mogą żyć bez stosunków piciołowych. Jeśli nie mają ich we własnym łóżku, to przedzej czy później cudzołożą. A zdradę trudno wybaczyć. Dlatego cudzołóstwo należy do największych grzechów.

W małżeństwach współczesnych zdarza się jednak, że partnerzy tolerują przelotnych bądź stałych kochanków. Nie zależy im na wierności, ponieważ przestali być dla siebie atrakcyjni seksualnie. Obie strony mogą robić co chcą. Nie muszą się krepować, uda-

Wielkie i małe kości leżały niedbale. Wydawało się, że mogą poodrywać się jedne od drugich i opaść w nieładzie na posłanie. Gdy wstała, umyła się i ubrała, odprowadził ją do drzwi.

„Patrzyłem na nią, jak od-
dała się po podestacie: szu,
szu, szu, plisowana spódniczka
falowała prowokująco, symu-
lując krągłość bioder; ale już
wiedziałem, że nie falowała
na dwóch mięsistych poślad-
kach, lecz na beziecielskich i
pustych kościach. Winda za-
trzymała się na pietrze, śmierć
pozdroowała mnie dłonią i zni-
kała”

Skojarzenie prostytutki z tańcem śmierci (dane macabre) jest częściowo słuszne. Śmierć bowiem też bierze wszystko, chociaż nie za pieniądze. W korowodach śmierci, które malowano od początku XV wieku, uśmiechnięta kostucha tańczy z wesółymi królami, papieżami, rycerzami, mieszczanami, chłopami. Śmierć jest całkowicie bezinteresowna i wszystkich traktuje tak samo. prostytutka zaś wymaga pieniędzy, ale w zamian dostarcza rozkosz.

W powszechnej świadomości prostytutki są potępiane. Jest

nak wątpliwości czy na długo. Jeśli para małżeńska odczuwa potrzebę wymiany usług erotycznych z innymi małżeństwami, to znaczy, że jest bardzo źle. Zdrowe małżeństwo powinno być całkowicie samowystarczalne przynajmniej pod względem seksualnym.

Na temat życia seksualnego w polskich małżeństwach ciekawych informacji dostarczała socjologowie, psychologowie, lekarze. W latach 1983—85 Adam Grodzki z Uniwersytetu Warszawskiego przeprowadził badania wśród 784 kobiet w wieku od 28 do 35 lat. Okazało się, że codziennie współżyje 11 proc., 2—3 razy w tygodniu — 55 proc., raz w tygodniu — 25 proc., rzadziej — 9 proc. respondentek. Zaledwie 7 proc. meżatek pragnie częściej odbywać stosunki niż ma to miejsce w ich życiu małżeńskim.

Podobne badania zrealizowa-
ła w latach 1959—63 Hanna
Malewska. W grupie 861 ko-
biet 89 proc. stanowiły osoby
w wieku od 28 do 35 lat. Dwie
trzecie ankietowanych miało
staż małżeński poniżej osmiu
lat. Częstość współżycia intym-
nego w małżeństwie przedsta-
wiała się następująco: codzien-

meżów do siebie i nieświadomie popychają w kierunku ciekawszych erotycznie sąsiadek, współpracownic, wesołych panienek.

Meżczyźni zresztą lubią polować na cudze żony i niszczą kobiety. Niektórzy wyznają dziwne teorie, że spanie z inną kobietą bez miłości nie jest zdradą uczuciową. Słyszałam nieraz, że każdy „skok w bok” zwiększa jej zainteresowanie żoną. Być może. Nowe doświadczenia mogą być przydatne we współżyciu małżeńskim. Ale dla kobiety jest czymś strasznym i obrzydliwym dzielenie się kochanym mężczyzną z innymi partnerkami seksualnymi. Oznacza to przecież degradację kobiecości i zdradzenie żony.

Miłość erotyczna — w przeciwieństwie do braterskiej i macierzyńskiej — ma charakter ekskluzywny. Pragniemy mieć partnera tylko i wyłącznie dla siebie. Ogromną przyszkolę sprawia nam odkrycie, że współmałżonek pożądliwie patrzy na inne kobiety. Pod tym względem jeszcze bardziej zabierzą się mężczyźni. Kłóś m powiedział, że natychmiast odszedł od żony, gdyby wiedział, że kiedykolwiek go zdradziła.

Jak często zdarzają się „sko-ki w bok” polskim współmiał-żonkom? Z najnowszych badań wynika, że stosunki pozamają-żeńskie utrzymuje: regularnie — 1 proc. kobiet i 2 proc. męż-czyzn; od czasu do czasu — 4 proc. kobiet i 11 proc. męż-czyzn; sporadycznie — 16 proc. kobiet i 29 proc. mężczyzn. W sumie więc nie dostrzegamy przyrzuconej wierności 21 proc. pań oraz 42 proc. pan-ów.

Ogromna większość małżonków miewa sny o charakterze seksualnym. W tych podświadomych marzeniach połowa mężczyzn i 40 proc. kobiet kocha się z obcymi osobami, a jedna trzecia pań i panów z osobistymi małżonkami. Fantazje erotyczne zdarzają się też na jawie. Niemaló mężczyny i kobiet wyobraża sobie, że odbywa stosunek z kim innym niż w rzeczywistości. A wyobraźnia nie zna granic. Podobno niektóre kobiety marzą nawet o gwałcie, lecz to już świadczy o jakiejś dewiacji.

Zbigniew Lew-Starowicz ustalił, że prawie połowę związków małżeńskich w Polsce można zaliczyć do udanych pod względem seksualnym, ponad 40 proc. stanowią związki konfliktowe, a 9 proc. charakteryzuje się poważnymi zaburzeniami. Na zaburzenia seksualne cierpi ogółem 27 proc. kobiet i niemal co trzeci mężczyzna.

Z czego wynikają kłopoty w życiu erotycznym? Antoni Kępiński podkreślał, że w absolutnej większości przypadków występuje tzw. impotencja psychogenna; rzadko zaś zdarzają się dysfunkcje pochodzenia organicznego. Pisał on:

„U mężczyzn zaburzenia akty seksualnego dotyczą przeważnie ramienia wstępującego (faza przywspółczulna) — impotencja, przedwczesny wytrysk, natomiast u kobiet — ramienia zstępującego (faza współczulna) — anorgazmia, dyspareunia, vagini smus,

Obie fazy są ewidentne u osobników męskich — erekcja i ejakulacja, a skryte — u osobników żeńskich. W samym uciebie przebiegu aktu seksualnego, podobnie zresztą jak u anatomicznej struktury narządów płciowych, przejawia się zasadniczo cecha różnicująca obie płcie: męska aktywność, a żeńska bierność. To co jest aktywne, z natury rzeczy jest bardziej wewnętrzzone, demonstrationne, niż to, co bierne. (...)

W praktyce lekarskiej nie-
rzadko się spotyka, że życie
seksualne, które przebiegało
normalnie i dawalo pełnię
przed ślubem, ulega nieraz za-
kłóceniu ukrótko po ślubie na
skutek zwykłych małżeńskich
konfliktów i trudności życio-
wych. U kobiet najczęściej wy-
stępuje oziębłość, przechodząca

Przebieg choroby, przebiegający we wstrząs do życia seksualnego i pojawiający się doznania bólowe w czasie stosunku (dyspareunia), u mężczyzn natomiast – tendencje ucieczkowe, zwykle w postaci szukania wyładowania w kontaktach o charakterze zabawowym poza domem”.

Ze zdaniem, wynika stąd wniosek, że najlepszą receptą na kłopoty seksualne jest miłość. Tylko bowiem miłość jest cierpliwa, usuwa skrzepowanie i pozwala przetrwać wszystkie trudności.

„Akt płciowy jest jedną z tych rzeczy, którą jeśli się robi dużo, robi się coraz więcej; a jeśli się robi mało — robi się coraz mniej i wreszcie można nawet zupełnie zaniechać”.

(Alberto Moravia)

Seks w życiu małżeńskim

MIROSLAWA SARBİŃSKA

wać, tłumaczyć. Najważniejszą sprawą jest spokój w domu.

Podobną historię opisał Alberto Moravia w powieści "Uwaga". Bohaterka utworu doszła do wniosku, że mąż przestał ją kochać. Przypomniała mu, że kiedyś robili to codziennie, nawet dwa razy na dzień, a teraz wynalazł pretekst w postaci pracy nad powieścią, której wcale nie pisze. Odsunęła się od niego ze wzgardą i powiedziała:

— *Ne widzisz. Dawniej wystarczało, że na ciebie spojrzałam, i zaraz ci się chciało. Masz trzydzieści lat, nie powiesz mi, że stałeś się impotentem.*

Francesco odparł, że seks nie jest jedyną rzeczą pomiędzy mężczyzną i kobietą; jest jeszcze uczucie. Ale nie przekonał żony. Cora uważała, że jeżeli nie ma tej rzeczy, to nie ma niczego. I miała rację. W normalnym małżeństwie życie seksualne jest przyjemną koniecznością, stanowi podstawę więzi psychicznej, ostoję miłości.

Nie każda kobieta zdobędzie się na to, co uczynia Cera. Zaprownowała mężowi, żeby odtań zył i osobno we wspólnym domu. Wstawiła mu łóżko do innego pokoju i dała całkowitą swobodę postępowania. Wszystko pozostało, jak było, lecz nie musieli już przed sobą udawać. Nie czuli się skrzepowani, nie mieli poczucia winy. Małżeństwo ich istniało tylko formalnie. Nie było wprawdzie szczęśliwe, ale zgodne i trwałe.

Zgodnie z urwale.
 Pod względem erotycznym Cora zadbała o swego męża. Zaczęła mu przysyłać do mieszkania kobiety oddające się za pieniądze. Pewnego razu przysłała w zastępstwie dziewczyną bardzo młodą i przeziłwie chudą. Zdumionemu mężczyźnie oświadczyła, że zawsze taka była. I zapylała, co miało znaczyć, gdy pewien Niemiec powiedział na jej widok „Totentanz”? Francesco przełumacił mechanicznie — „*Taniec śmierci*” — i wyjaśnił skiele-
 towi:

„To taki obraz, który daw-
niej malowano w kościołach.
Widać, jak śmierć tańczy naj-
pierw z jednym, a potem
drugim, z królem, z zebakiem,
z młodym, ze starym, z bied-
nym, z bogatym i tak dalej.
To znaczy, że śmierć nie szan-
uje nikogo, zabiera uwzys-
kich. Nie było to bardzo po-
chlebne dla ciebie. Dlatego, że
ten Niemiec traktował cię jak
szkielet, nazywał cię śmiercią”.

Spragniony pięknej pici mę-
czyzna pokochał się z brzyd-
ką dziewczyną. Z wystarcza-
jącym zapalem posiadł żywy
symbol śmierci. Miał wrażenie,
że wchodził w miękkie i ciepłe
ptasie gniazdo ukryte wśród
suchych gałęzi drzewa zimo-
wego.

Francesco obserwował później śpiący szkielet. Dwudziestoletnia dziewczyna była pełna prostych i ostrych katów.

to zrozumiałe. Ale dlaczego takie samo odium nie spada na tych, którzy korzystają z ich usług? Mężczyźni ci budzą we mnie wstręt i politowanie.

Opdychające wydają mi się też grupowe zabawy seksualne. Znudzone małżeństwa ogłaszają, że poszukują dodatkowych partnerów. Seks zbiorowy ma być najlepszą receptą na nieudane życie małżeńskie. Przypadek taki opisał niedawno dziennikarz tygodnika „Wprost” (1988-11-27).

Janusz i Katarzyna (nauczycielka, 28 lat) już krótko po ślubie stwierdzili, że nie odpowiadają sobie pod względem seksualnym. Nie rozwiedli się jednak, lecz przyznali wzajemnie całkowitą swobodę. Z kochankami spotykali się poza domem; i nie dostrzegali nawet, że ich małżeństwo różni się od innych. Byli dobrymi przyjaciółmi.

Pewnego dnia Janusz zauważył intrigujące ogłoszenie. Małżeństwo w średnim wieku poszukiwało pary młodych ludzi lubiących śmiały seks. Odpowiedzieli na anons i nawiązali kontakt telefoniczny. Jerzy i Maria K. zaprosili ich do siebie. Mieszkają w domku z ogrodem na drugim końcu miasta.

Gospodarze przyjęli gości bardzo serdecznie. Powitali ich przy wejściu i zaprosili do salonu, gdzie czekał już zastawiony stół. Przy alkoholu atmosfera rozluźniała się. Jerzy K. ma 35 lat, jest inżynierem chemikiem, człowiekiem inteligentnym, dowcipnym i subtelnym. Ale jako mężczyzna nie zrobił wielkiego wrażenia na Katarzynie. Natomiast Maria K. (lekarz pediatra, 33 lata) od razu spodobała się Januszowi.

W domu państwa K. połowę sypialni zajmują ogromne łóżko. Bez trudu pomieściłoby obie pary małżeńskie. Wspólny seks zakończył udany wieczór. Katarzyna przekonała się, że taki układ w dziwny sposób zbliża ją do własnego męża i może przetrwać dłużej niż jedną noc. Już pierwsze wrażenia były korzystne.

„To dziwne, ale gdy pieści-
li mnie obaj, a potem we troje
wspólnie z Marią, nie czułam
dawnej niechęci do Janusza.
Umówiliśmy się na następny
tuzień”.

Od tamtej pory regularnie, dwa razy w tygodniu, uprawiali seks grupowy. Państwo K. wciąż proponowali coś nowego i podniecającego.

Katarzyna opowiedziała to wulskim reporterom, żeby ludzie nie uważali podobnych znajomości za występne i niemoralne. Od czasu spotkań z państwem K. nie miaują już z mężem innych przygód erotycznych. Czują się coraz bardziej związane z sobą, mogą na siebie liczyć. Nie obawiają się rozpadu rodziny.

Seks grupowy spełnił tu więc pozytywną funkcję. Rodzina została uratowana. Mam jed-



Foto: Konrad Turowski

Lucjuszowi Włodkowskiemu i Januszowi Marchewie z absolutnym wyrachowaniem — A.M.

1.

Nie wszystkie wydarzenia są zmyślone; prawdziwa jest tylko miasto. Niech tak będzie!

Dwadzieścia trzy lata temu zamordowano w Łodzi młodą, piękną dziewczynę, pochodzącą wedle ówczesnych kryteriów z bogatego domu. Sprawcy do dzisiejszego dnia nie wykryto. Opinia publiczna, będąca zazwyczaj ślepiem i bezwzględny wrogiem sprawiedliwości, próbowała początkowo rzucić cię na Boga ducha winnego studenta, narzeczonego ofiary, co zawazyło wydatnie na jego późniejszym życiu.

Wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku dwóch młodych mężczyzn dokonało rozboju na konwojentach, którzy w ciemnym powiatowym mieście przewozili z NBP do Banku Spółdzielczego pięćdziesiąt milionów złotych. Padli strzały, były ofiary w ludziach. Pieniądze i bandyci rozplynęli się we mgle.

Nikt nie przypuszczał, że obydwa odległe w czasie przestępstwa miały ze sobą związek. Nic, która niebawem osiągnęła średnicę powrozu, prowadziła do kamienicy przy jednej z głównych łódzkich ulic.

POSESJA NUMER 84

Jest tam brama o dwóch żelaznych, poobijanych przez samochody pacholkach. Głowy pacholków, na których w pogodny dzień siadają pijani w sztok synowie stróża, ozdobione są szyderczymi twarzami krasnali. Nad bramą wiszą niczym dziób okrętu wykuszowe okno. Balkon frontowy i niektóre stłuki zostały dla bezpieczeństwa zerwane, kamienica wszelako nie całkiem straciła na uroku. Tkwi w samym środku miasta, kilkadziesiąt metrów od ulicy Piotrkowskiej.

W bramie lewe wylizane brązową farbą drzwi wiodą do siedziska dozorczy i na tym kończy się ich szlachetna misja. Natomiast prawymi drzwiami dojdiesz do marmurowych schodów i podążysz, jeśli tylko masz siłę i ochotę, do mieszkań lokatorskich na pierwszym, drugim i trzecim piętrze.

Dalej jest wylane różowym betonem podwórko z gazonom obmurowanym niebieskimi kafelkami. Niedługo, wiosną i latem, gazon kipiał od kwiatów, ale odkąd dozorca osiągnął po raz pierwszy upojny stan delirium tremens, przestał zajmować się kwiatami i gazon przypomina teraz ponurą parcelę cmentarną.

Podwórko ze wszystkich czterech stron otoczone jest trzypiętrową zabudową mieszkalną, nad którą biegnie dookoła strych-poddasze, a u podnóża kamienicy zionie czternaście prostokątnych otworów piwnicznych. W zagraconych, zasypanych węglem i kartoflami piwnicach usłyszysz nieraz złowieszczy pisk szczura. W marcu piwnice należą do kotów, które zawoźdzą nocami jak niemowlęta albo wrzeszczą z przerażającym okrucieństwem.

Po drugiej stronie podwórka, na wprost frontowej bramy znajdziesz inną, mniej okazałą bramę z wejściem na ostatnią klatkę schodową. Brama ta wylęza na piaseczysty dziedziniec, gdzie stoją rzędem pojemniki na śmieci. Jako się rzekło, permanentnie pijany dozorca nie ma ostatnio czasu na zajmowanie się glupstwami, rzadko więc przy pomocy dwóch skacowanych synów wywleka pojemniki na ulicę, aby przekazać je samochodom Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. Cuchnie. Dziedziniec graniczy przez mur z przedszkolnym placem, na którym pod opieką zatykającej nos wychowawczyni bawią się w tumanach kurzu blade, wesołe dzieciaki.

Na tym można by zakończyć opis posesji numer 84. W bramie frontowej wisi zakurzony spis trzydziestu dziewięciu głównych lokatorów. Jest wśród nich milicjant, jest położna, jest lekarz, jest emerytowany urzędnik-elegant, który trzy razy dziennie zmienia ubranie i dumny jak paw, to w muszce, to w krawacie, paraduje po podwórku. Nas ci ludzie jednak w ogóle nie obchodzi. Nas obchodzi tylko pięć podstawowych osób dramatu. Dobry obyczaj nakazuje, aby zacząć od kobiety.

GEJSZA

Barbara S. nie była kurwą, aczkolwiek w poufnych rozmowach tym właśnie mianem okazywały ją sąsiadki. Barbara S. nie była także w całym tego słowa znaczeniu prostytutką. Nie miała opiekuna, nie przesiadywała w kawiarniach, nie łowiła na ulicy, a w domu, w mieszkaniu na drugim frontowym piętrze kamienicy, przyjmowała sporadycznie. Bywała wszakże, iż przed bramą, pomiędzy jednym drzewem lipowym a drugim, zatrzymywał się z dyskretnym pomrukiem silnika mercedes o szwedzkiej bądź holenderskiej rejestracji i tuż za Barbarą wysiadał z auta przystojny, szpakowaty, zaanwansowany już w latach dziesiętmen, aby wstąpił na marmurowe schody i spędzić z atrakcyjną Polką noc. Milicjant drogowy, młode jasnowłose, podpuszczane przez żonę chłopię, zasadzał się kilkakrotnie o brasku na zagranicznych klientów Barbary w przeświadczeniu, że uda się być może postrząsnąć ich balonikiem i lyknać z boku parę dółców. Kochankowie jednak zawsze byli trzeźwi, zawsze doskonale ogoleni i w ogóle pod każdym względem w porządku.

Barbara S. pracowała metodą usta-usta, przy czym nie chodziło o sztuczne oddychanie i nadmuchywanie wielkanocnych jaj. Chodziło tu wyłącznie o system specjalnych ustnych poleceń. Zwracał się na przykład dyrektor Józwiak do dyrektora Dziegielewskiego:

— Z piękną dziewczyną byłęś wczoraj w teatrze, mój drogi. Chętnie zrobilibyśmy z nią lupu-cupu.

— Spróbuję to załatwić — odpowiadał dyrektor Dziegielewski i organizował wstępne spotkanie w trójkę w jakiejś eleganckiej, ale ustronnej knajpie, na przykład w „Dziuku” albo „Pod Łódką”, albo w motelu „Na Rogach”, gdzie nie tylko można dobrze wypić i zjeść, lecz i przespacerować się w wygodnym łóżku. W trakcie kolacji Barbara była dla obydwoj panów uprzejmą grzeczną, przychodził wszelako moment,



że wywoływała dyrektora Dziegielewskiego do hallu i mówiła z ubolewaniem:

— Spław jakoś swojego przyjaciela, kotku.

— Nie podoba ci się?

— Och, byłby na pewno wspaniałym kochankiem, tyle tylko, że jest łysy, gruby, obleśny, trochę jakby niedomyty i potwornie zdyszany. Boję się, że jeśli nawet przeżyje stosunek, trzeba będzie zwołać kardiologa.

Scenariusz mógł również wyglądać odwrotnie. Wywołano do hallu Dziegielewszcza, czy też inny zaprzyjaźniony z Barbarą dyrektor, wysłuchiwał nie bez zazdrości:

— No, wracaj do żony i do dzieciaków, myszko. Twój kolega to porządny człowiek; poradźmy sobie jakoś we dwoje.

Przechodziła zatem Barbara z rąk do rąk. Była wymarzoną kurtyzaną dla wyższych kręgów średniej kadry dyktorskiej, o czym świadczy dowodnie, iż zakochał się w niej pewien dyrektor departamentu. Nie dyrektorzy jednak wybierali, lecz ona. Gość musiał mieć oczywiście portfel, przy tym przecież dobrze było, kiedy jego wygląd i zdrowie nie budziły zastrzeżeń i kiedy nie potrzebował sięgać do portfela, aby udowodnić, kim jest. Karki kelnerów mają zginać się automatycznie, a służba hotelowa winna stąpać na paluszkach.

Co do samego kochania i seksu, Barbara nie traktowała tych spraw rutynowo; nie bawiła jej ordynarna miłość na tapczanie i zwierzęcy ryk, jaki wydobywał się po kilku chwilach z płuc mężczyzny. W swoją pracę, jeśli można to w ogóle nazwać pracą, wkładała całe serce i duszę, całą bujną i nienasyconą kobiecość, która zawodziła ją rzadko, zwykle zaś stanowiła źródło mocnych i szalonych przeżyć. Akt miłosny był dla niej tym samym, co klasycznie zbudowany utwór muzyczny — długi wstęp, eksplozja i powolny odpływ w smutek mórz południowych. Początek był walką dwóch nienawidzących się płci, był wściekłością i pożądaniem, koniec natomiast przybierał tony uległości.

Barbara S., którą nierzadko grono znajomych nazywało Gejszą, nie pochodziła bynajmniej, jak to bywa zwykle wśród dziewcząt upadłych, z marginesu społecznego; nie miała również nie wspólnego ze środowiskiem robotniczym, ceniącym nade wszystko u kobiet czystość charakteru i cnotę. Ojciec Gejszy był inżynierem budowlanym; matka, dama nie pozbawiona pretensji, grała trochę na fortepianie i śpiewała, przechwalała się w przerwach szlacheckim redowodem. Gejsza dorastała samotnie; marzyła o bracišku lub siostrzyczce, ale nie doczekała się ich, co martwiło również inżyniera — nie dlatego, aby chciał mieć więcej dzieci, lecz dlatego, iż syn dziedziczyłby po nim nazwisko. Tak czy owak, kochał ogromnie jedynaczkę, a ona nie sprawiała mu zawodu aż do chwili, kiedy w wieku szesnastu lat zabrał się do niej po lekcjach w gimnazjum nauczyciel rosyjskie-

go, typ przystojny, wszelako niebawem bezcelny, o sadytycznym usposobieniu i swoistym poczuciu sprawiedliwości. Nocą grzała mu łóżko, rano, wobec koleżanek i kolegów, wywalała go do odpowiedzi.

— Tępiar! Warwara — mówił i kazał jej straszyć „Wiśniowy sad”. Ponieważ milczała jak zaklęta, walił dwoje, wychodząc z założenia, iż człowiek radziecki musi odgrodzić życie osobiste od czynności zawodowych.

— Skurwysyn — wyplakiwała się później przyjaciółce w bluzkę. — Może bym i przeczytała to sztuczki, ale jak miałam to zrobić, kiedy bez przerwy mnie rznął.

Romans nie był wcale przelotną miłością. Trwał. Wkrótce dowiedziała się o nim grono pedagogiczne, darzące radzieckiego sokoła szczerą i niewymuszoną estymą, a potem rodzice Barbary, w związku z czym ojciec wezwał ją któregoś dnia do pokoju na rozmowę.

— Zaraz przyjdę — powiedziała i zniknęła na tydzień, aby zemścić się na ukochanym ruscyscie z germanistą w Grand Hotelu. Germanista, w rzeczy samej: dyrektor znanej monachijskiej spółki handlowej, w słusznym przeświadczeniu, że Polsce należy się odszkodowanie wojenne wcisnął jej ukradkiem do kieszeni sto marek i tak się zaczęło. Dwa lata spędziła w drugiej klasie, a kiedy przeszła do klasy trzeciej i skończyła osiemnaście lat, wymogła na pijanym dyrektorskim fabrycznym, aby podpisał jej kwestionariusz paszportowy, że to niby pracuje i że zakład nie ma na nie przeciwko wyjazdowi dziewczyny na tygodniową wycieczkę do Amsterdamu. Przyjechała po sześciu miesiącach z przyzwyczajoną znajomością angielskiego, zmieniła bowiem kierunek zainteresowań lingwistycznych. Ruscyska, którego szczerze słowiańskie serce wyło z bólu, błagał ją w bramie na kolanach, aby wróciła do niego i do szkoły.

— Trójkę dam na maturze — chlapał. — Bez gadania!

A Gejsza na to:

— Słuchaj, mały, jesteś naprawdę fajnym facetem i ukierunkowałeś mnie w życiu, ale teraz muszę iść do wujka.

Już wtedy żywołem Gejszy byli chłopcy — dyrektorzy, owa wspaniała, jurna, umiejąca cieszyć się nocą i dniem rasa ludzi, którzy mają dzieci, żony, prywatne i służbowe kochanki, prywatne i służbowe samochody, władzę, pieniądze i w ogóle wszystko prócz rozumu. Szybko posiadła sztukę manewrowania tymi cwkami. Kiedy jeden z drugim pozbawiony taktu bęwał sięgał do kieszeni, aby wręczyć jej rulon banknotów, podnosiła ze zdziwieniem brew. — Cóż ty do cholery myślisz, kochanie? Jeśli chcesz koniecznie sprawić mi przyjemność, to w „Centralu” są krótkie futerka.

Albo:

— Wolalabym raczej zaręczynowy pierścienek.

Albo

— Przejdź się ze mną do tego komisju przy Narutowicza, obejrzymy komplet dzinsowy.

I tak dalej. Kożuch, buty, perfumy, pończochy i suknie, narty, rakietki tenisowe, złoty zegarek, kilkanaście wpłat na konto dolarowe, książeczka PKO z uczciwym wkładem, czterotomowa Encyklopedia Powszechna, radiomagnetofon Hitachi, wreszcie telewizor Super-Infra Color Videolon, za który zapłaciła z własnej kieszeni, ale już z chwilą wytaszczenia z magazynu wart był podwójnie. Usiłowała wręczyć go rodzicom na srebrne wesele, ale zarówno ojciec jak i matka, zrozpaczeni i zagniewani, nie przyjęli prezentu.

Ileż wstydu przeżyli obydwoje! Najpierw wstydził się tylko sąsiadów, potem znalazła ją Gejsza cała dzielnicą, wreszcie ojciec wyczytał ze spojrzeń podwładnych i kolegów, że sława jedynaczki dotarła do zakładu, w którym pracowała sumiennie ćwierć wieku. Wówczas, pod naciskiem żony, postanowił wyprowadzić się na Śląsk. Nie miał zielonego pojęcia, że Barbara obróciła już jego szefów: dyrektora naczelnego i dwóch przystojnych wicedyrektorów, i że gdyby tylko chciała mogłaby śmiało awansować. Tego jednak zrobić mu nie mogła. Patrzyła ze ściśniętym sercem, jak robotnicy ładują na platformę ciężarówki krótki, pokojowy fortepian, kredens, stół, sześć krzeseł, bufet i parę innych domowych sprzętów. Matka nie odezwała się do niej ani słowem, ale ojciec zawrócił w ostatniej chwili i płakał. Kiedy po raz ostatni zamknął za sobą drzwi, rozszlochała się i Gejsza. Życie jednak ma swoje rygory. W trzy dni później wróciła do chłopców-dyrektorów i zaczęła kompletować mieszkanie. Wzbudziło to fale okrutnej zawiści. Konwent sąsiadów, w którym zasiadało więcej pań niż panów, próbował wyrzucić ją z domu. Odwiedziła Gejszę w godzinach porannych dziewczyna z obyczajówki, absolwentka Uniwersytetu ubrana ze skromną, sztywną elegancją.

— Koniak? — zapytała Gejsza.

— Nie.

— Martini?

— Dziękuję.

— W takim razie wypije pani szklankę herbaty — powiedziała stanowczo Barbara i podsunęła jej camelę.

Funkcjonariuszka, przekonana na schodach, że drzwi otworzy jej ściochranie przeciwnościami losu kurwidło, poczuła do Gejszy sympatię i przyjęła pocztunek, przyglądając się uważnie gospodyni, która robiła doprawdy imponujące wrażenie. Była opalona, ale bez przesady, jako że chodziła do solarium przy Tuwima tylko raz na dwa tygodnie. Miała zdrową cerę, cudownie zarysowane biodra i piersi, jasne, nieukarbowane, lśniące włosy i naiwne spojrzenie ładaczniczki czytającej przed snem wiersze Leśmiana.

Głowy, którą mam na karku

Nie wygrałam na jarmarku

Lecz dostałam ją od Boga

I dlatego jest mi droga.

Mądryemu człowiekowi głowa służy przede wszystkim do myślenia.

— Nie lubię zdziwienia obyczajów — rzekła Gejsza z prostotą. — Nie urządzam przyjęć, nie upijam się, nie narkotyzuję, nie tańczę i nie wrzeszczę, nie handluje bonami, nie trzymam w mieszkaniu dolarów i psów, radia i telewizji słucham po cichu, no i bardzo rzadko mówię gości. Trudno rzecz jasna powiedzieć, abym odczuwała przesytną wstępną do mężczyzny, ale niech mi pani pokaże takiego, którego oszukałam, zgwałciłam lub okradłam.

— Nie pracuje pani jednakże.

— Ano, nie. Jestem bogata z domu.

— Nie chce pani podjąć nauki?

— Studiuję we własnym zakresie angielski i geografii.

— Miałam na myśli liceum.

— Tam nie wrócę.

— Czemu?

— Zawiodłam się na belfrach.

— Mogłaby pani sprecyzować kwestię?

— W żadnym wypadku — zaprotestowała spokojnie Barbara. — Nie uznaję donosów.

Funkcjonariuszka przełknęła pigułkę i wyszła żalując, że nie udało się pozyskać Gejszy do współpracy, która mogłaby zaowocować szokującą. Uuuu! Byłby hak na kilku drani. Na Barbarę jednak haka nie było. Zakochała się po prostu częściej niż inne, uczciwe kobiety, ale nie klusowała w łódzkich lupanarach, nie roznosiła chorób wenerycznych, nie robiła żadnego małżeńського stadła. Nie lubiano jej, lecz uroda zawsze budzi zazdrość. Nie ma rady!

Żyła więc Barbara spokojnie, unikając sąsiadek i nie odpowiadając na ukłony złotych sąsiadów. W ciągu trzech lat wzbogaciła znacznie rejestr dyrektorów, w których gestii było dziwnym trafem drewno, oświetlenie, meble, ceramika, i wiele innych gałęzi rodzimego i zagranicznego przemysłu. Jeździła skromnie małym fiattem. Rzadko zarywała noce, spała do południa. Słuchała muzyki, nieraz brała do ręki książkę:

Uważ, jaki zakat

Grozi twej sławie, jeśli latwoiwiernie

Podstępem jego oddasz ucho, serce

Sobie uwieź i skarb niewinności

Otworzył jego bezwonnym zapędom.

Strzeż się, Ofelio, strzeż się, luba siostrzo;

I stój w odwodzie twej skłonności, z dala

Od niebezpieczeństwa i napaści pokus.

Wstydlive dziewczę za wiele już waży,

Gdy przed księżycem wdzięki swe odlatnia;

Na samą cnotę pada rżca obmowy;

Robak zbyt często toczy dzieci wiosny,

Nim jeszcze pączki zdążyły otworzyć;

I kiedy rosa wliży młodość hoza,

Wpływ złośliwych miazm najbardziej groza,

Strzeż się więc; tarczą najlepszą w tej próbie

Niedowierzenie, nawet samej sobie.

Tęskniła za rodzicami, za ojcem, który od

czasu do czasu, zapewne w tajemnicy przed

matką, pisał do niej przepelnione miłością li-

sty.

Ktoregoś wieczoru klasnął dzwonek u drzwi. Pomyślała, że syn stróża przyszedł po kosa

z mieciami, aby opróżnić go na drugim podwór-

ku i zarobić sto pięćdziesiąt złotych.

Przekreśliła klucz w zamku i radość dosłown-

ie ścisła ją z nóg. W progu stał jedyny mę-

czyzna, jakiego naprawdę kochała. W progu

stał zażenowany, nieśmiało uśmiechnięty ojciec.



Rys. Sławomir Luczyński

Nareszcie



Po 12 latach remontu otwarto (nareszcie) kino EDK. Przy tak niewielkiej ilości miejsc kinowych w Łodzi można to nazwać znaczącym wydarzeniem. Tym bardziej, że kierownictwo kina zapowiada różnorodny i ambitny repertuar. Na inaugurację zaprezentowano najnowszy film Wojciecha J. Hasi „Niezwykła podróż Baltazara Kohera”, w której wzięli udział twórcy filmu, odwołując się do roli — Rafał Wierzyński, kompozytor muzyki — Zdzisław Szostak i Paweł Rakowski — kierownik produkcji (na zdjęciu).



Wystawa, jaką mieliśmy okazję oglądać w salonie PWSFTiT, przy ul. Piotrkowskiej 189/191 to dobytek prac bardzo dojrzałego twórcy, ciekawie spoglądającego na utrwalańca na fotografiach rzeczywistości. Szkoda tylko, że mieszczący się w centrum miasta salon jest niedostępny w dostępnych dla zwiedzających godzinach.

PESTKI DYNI

„Minister kultury i sztuki prof. Aleksander Krawczuk w czasie pobytu w Londynie odwiedził znakomitego artystę, Feliksa Topolskiego, przy czym oświadczył, że należałoby w Warszawie zorganizować wystawę jego prac.

— Właśnie w ubiegłym roku była w Muzeum Karykatury — poinformował ministra rozbawiony artysta. („Szpilki”, nr 50 br.).

To bardzo smutna, bardzo beznadziejna książka. Beznadziejna też będzie próba znalezienia w niej jakiegokolwiek sensu. Nie wiem, dlaczego i w jakim celu Marek Hłasko ją napisał. Przeświadcza o sobie, ale w efekcie ta nowa prawda wpasowuje się idealnie w obiegowe anegdoty i plotki, krążące na temat Hłaski po Warszawie w latach 1956–58.

Wiem, że Hłasko miał problem z alkoholem, bardzo poważny problem, który w połączeniu z proskromianą doprowadził do jego śmierci w wieku 35 lat. Chciałbym się z tej książki czegoś na ten temat dowiedzieć, w końcu trzy-

od których roły się wydawnictwa i redakcje w tamtej epoce, dziś już w większości nieżyjący — o nich właśnie, o ich wpływie na Marka Hłaskę chciałbym się od niego samego dowiedzieć.

Niestety, jest już za późno. Zostaje nam opowiadanie „Pęta”, z którego możemy domyślać się najważniejszego problemu życiowego Hłaski, zostają inne utwory, z których możemy domyślać się trudności autora w nawiązywaniu kontaktów uczuciowych z kobietami. Hłasko nawet w tej książce pisze o sobie, zupełnie serio, że jest pisarzem-moralistą, ale ja zupełnie nie wiem, co pojęcie „moralista” znaczy w odniesieniu do

prosy, na których dawał uzasadnienia swojej decyzji, to niechęć teraz też zwoła konferencję i powie o zmianie decyzji, w końcu było to nadal ta sama gra, w tych samych konwencjach. Hłasko odmawia, ponieważ, twierdzi, jeśli zwoła taką konferencję, to całą sprawę załatwi, commies będą usatysfakcjonowani i w Polsce do pudła go nie wsadzą. A on chce przed sądem udowodnić, że nie był szpiegiem, żeby ci, „którzy w niego wierzyli”, nie byli jego moralną postawą rozczarowani.

Hłasko kilkakrotnie wspomina o antysemityzmie Polaków w ostrych słowach, oskarża ówczesne społeczeństwo o niechęć do osób

idiotyzmu tego zielonego głupia, marionowanego w wyborowej. Szczyt jest tutaj:

„Dziwne, że żaden z publicystów polskich nie wziął w obronę tych ludzi, których prosto z więzienia NKWD posłano do więzien UB, aby stali się stróżami braci swoich”.

Stróżami, skazującymi na śmierć i dożywotnie więzienie setki oficerów polskich, tysiące członków AK, torturującymi jak za czasów inkwizycji... Niszczącymi zresztą nie tylko Polaków, ale i Żydów, którzy nie byli im wygodni, są na to dokumenty. Bronimy teraz oprawców, my, publicyści polscy! Może i gestapo trzeba by trochę pobronić?

Hłasko hańbi i obraża Polaków w tej książce, nie raz, nie dwa i nie trzy. Nie wiem, jak reagowałiby na jego widok, gdyby wrócił wtedy do Polski, ludzie mający na swym koncie po sześć lat siedzenia w celi śmierci, ludzie połamani przez choroby i tortury, synowie rozwalonych w kazamatkach. Nie wiem, czy Hłasko mógłby pić spokojnie swoją wódkę w „Kameralnej”.

„Piękni dwudziestolenni” to smutna książka. Napisana przez kogoś tak głupiego, jak pijany dwudziestolatek, ale przez to wcale nie piękniejsza. Miał szansę podnieść się w tej książce ponad swoją niedojrzałą, prymitywną prozę, miał szansę by przemyśleć jak człowiek, już dotknięty doświadczeniami ośmiu lat emigracji, ale znów, jak trzydziści lat temu powiedział Krzysztof Teodór Topciński, wyszło jak to widzi Polska mały Mareczek... Polskę i świat, trzeba by teraz dodać.

Nie mogło wyjść. Jak pisał w nieprzychylny Hłascie (nie dziwię się!) twórcyż: „Z pustera i Salomona nie należało”.

Sorry, Mark. Rest in peace, poor buddy.

Marek Hłasko: „Piękni dwudziestolenni”. Wydawnictwo „Alfa” Warszawa 1985, s. 174, nakład 100.000, cena 529 zł.

Pijane dziecko we mgle

ANDRZEJ BRYCHT

dziesięciolecie męczył, obdarzony przez los zdolnością układania słów w logiczne ciągi, mógłby zdobyć się na odwagę i opowiedzieć o swojej osobistej tragedii, niszczącej mu życie prywatne, zdolność tworzenia i organizm. Zamiast tego czytamy elaboraty o tragedii narodu polskiego, niszczącego przez „commies” Hłasko wkracza na zupełnie mu obcy teren polityki na skale imperiów, na skale globu. Jest to wszystko sprawozdaniem z rozmów, odbywanych wiele lat przedtem ze starymi literatami przy wódecie, jest to temat zastępczy, za którym Hłasko chowa się jak za maską, aby tylko nie pokazać swojej prawdziwej twarzy młodego, przestraszonego człowieka.

On pisze o skutkach moralnych komunizmu, a ja wolalabym przeczytać jego własną ręką napisane wyznania o skutkach psychicznych jego wczesnych kontaktów ze środowiskiem literackich emigrantów, z których większość to byli pedałci, „wychowujący” swoich uczniów. Wszyscy ci Heniowie, Jurczakowie, Arturkowie, Jarkowie, Hłaski. Proszę nie traktować tego w sposób obiegowy, nie jestem przeciwny tak zwanemu ostrzeżeniu, orakom, awanturom, aferom sercowo-seksualnym, to sprawa temperamentu i potrzeb człowieka — ale twórczość Hłaski jest zbiorem anegdot i smaczności dla uczniów gimnazjalnych.

Takim też zbiorem podrzędnej jakości dowcipów i anegdot — nie przeżytych, tylko zasłyszanych, to widać wyraźnie — jest ta książka. O co Hłasko chodzi? W pewnym miejscu opowiada, dość szeroko, jak to wodził za nos zmuszających go do współpracy ubowców, a potem przynajmniej, że się stchórzył i nie wytoczył procesu jakiegoś reżyserowi, z obawy, że już więcej nie dostanie zamówień z filmu. Dalej wyjeżdża na Zachód, bierze aryl, a potem nagłe, czytając że polska prasa oskarża go o współpracę z wywiadem amerykańskim, postanawia wrócić do Polski: niech mu wytoczą proces, niech go wsadzą do pudła. Ale w jakimś konsulacie mówią mu, zresztą bardzo logicznie, że jeśli po wyjeździe organizował konferencje

pochodzenia żydowskiego. Jednocześnie rysuje sylwetki Różańskiego, Tykocinskiego, wspomina o Wyszyńskim, Monacie, Świątło i Romkowskim, krytykuje Fejginę, a także jakiegoś Werfla. Wymienia wiele jeszcze nazwisk, brzmiających z polską, nazwisk ludzi, którzy wówczas rządili Polską i realizowali ideę komunizmu na swój gorliwy sposób, zastanawiając się wykreowanym w tym celu przez centralę Stalinem. Ani razu Hłasko nie powie, że ci właśnie, stalinowcy pochodzenia żydowskiego, powodowali zrozumią niechęć Polaków do tej skądinąd szlachetnej i wysoko utalentowanej nacji. Ach, sorry, raz o tym mówi, słuchajcie: „Duża ilość aparatu bezpieczeństwa rekrutowała się spośród Żydów; ludzie nie wiedzą jednak, że działało się to na skutek zantazja ze strony NKWD, które w wielu wypadkach zmuszało ich do wstąpienia w szeregi aparatu bezpieczeństwa. Genialny Stalin umiał utrwaląć rzecz najbardziej hańbiącą Polaków — antysemityzm”. Ale jesteśmy zhańbieni! Ale to jeszcze nie sam szczyt

Scena Teatru Wielkiego gościła ostatnio dwa znane zespoły baletowe, różniące się artystycznym charakterem tak dalece, iż omówienie ich występu w jednym sprawozdaniu nie może w żadnym razie zmierzać do porównań.

HUMOR I WDZIEK

O radzieckiej „Bieriozka” jest głośno w świecie niemal od jej zarania, tj. od chwili, gdy choreografka Nadieżda Nadieżdina zmieniła przed czterdziestu laty dla grup tancerek okolicznościowy program, któremu nadała tytuł „Bieriozki” co przeniosło się na nazwę powstałego w następstwie sta-

niętnastu miniaturowych nie, wszystkie przemawiały z jednakową siłą ekspresyjną; do tych, które upamiętniły mi się najbardziej zaliczyłbym m.in. korowody „Labez” i „Labez” gdzie znów podziwiałem rozdzielanie się i ponowne scalanie grup tancerek z dokładnością do ułamków sekund i centymetrów, a przy tym z całkowitą swobodą i niewymuszonym wdziękiem. Doskonały humor i wirtuozerie techniczne zaprezentowały mężczyźni w „Dowcipniach” („Świąteczno-tancetach”). Tu i ówdzie zakradły się wprawdzie ilustracyjne dowcipy, niekiedy jednak najzupełniej uzasadnione, jak w naiwnej baśniowej „Tocy”.

Całości wrażeń dopełniała feeria barw, w kostiumach projektu L. dach Mirosława Różańskiego, sprawiającego niedawna szefostwo znakomita polska balerina, której zwiastowała tożsamość przedstawiła nie trzeba, Ewa Wycichowska, a która przez długie lata swojej bódzkiej działalności dała się również poznać jako twórczyni, pełen wobraźni choreograf, że wspomnę tylko „Stabat mater” Szymanowskiego. Z tego co nam zaprezentowała trudno jeszcze ocenić, jak sobie poczyną Wycichowska ze schedą po Drzewieckim.

Wspomaga choreografa znakomitą scenografią Ireneusza Domagali, posługująca się sugestywnym znakiem plastycznym jako skrótem myślowym, jak np. ogromnym wahadłem odmierzającym złowieszy upływ czasu, albo zwiastującym węzłem, który do końca pozostaje nie rozplątany. Należy się też uznanie Delfinie Ambrozjak za piękne solo w „Angelusie” Kilara.

Spotkania z Terpsychorą

tego zespołu, którego kierownictwo sprawuje obecnie, od czasu śmierci choreografki Nadieżdy, jej współpracowniczka, M. Kalcowa.

Ma za sobą „Bieriozka” występy w sześćdziesięciu krajach na wszystkich kontynentach, wszędzie przyjmowana z podziwem i aplauzem, była też kiedyś i u nas. Zespół zresztą z czasem przeobraził się w mieszany, co ogromnie wzbogaciło możliwości wykonawcze, zwłaszcza w kierunku rodzajowego humoru i brawurowego technicznego popisów.

Program wieczoru, zgodnie z czterdziestoletnią tradycją, rozpoczęto rosyjskim korowodem dziewczęcym w układzie N. Nadieżdiny i już sam ten utwór, w którym, jak różnobarwny wąż, zwiła się i rozwija z idealną płynnością i precyzją żeński ansambl, byłby wystarczającym dowodem, iż mamy do czynienia z umiędzynarodowionymi i środkami wyrazu najwyższej próby.

W programie składającym się z

Silica oraz inspirowana rosyjskim folklorem muzyka, w wykonaniu zespołu instrumentalnego pod niezawodną batutą Alfreda Rykina. Słowem — dużo stracił, komu nie było dane oglądać występu „Bieriozki”.

SCHEDA PO DRZEWIECKIM

Balet Poznański przyjął jak wiadomo nazwę Polskiego Teatru Tańca, która informuje o kierunku artystycznych zamierzeń. Profil choreograficzny „Teatru” nadał zespołowi jego twórca i długoletni kierownik Conrad Drzewiecki, którego osobowość artystyczna wycisnęła piętno na kształtowaniu się własnego oblicza zespołu. Zresztą coraz trudniej było tym, co pamiętali tak wybitne dzieła sztuki choreograficznej, jak „Pawana na śmierć infantki” czy „Cudowny mandaryn”, pogodzić się z dokonaniem ostatnich lat szefowania Drzewieckiego.

Obecnie, po krótkotrwałych rza-

zatytyłowany „W cieniu” w chore-

Z braku miejsca odnotujemy choć niektóre wrażenia, jak znajomość z uzdolnioną kontynuatką sztuki tanecznej rodziców BEATA WRZOSEK, jak nastrojowa Balladę g-moll w chor. Emila Wesolowskiego, odtańczoną przez MALWINĘ POLESZAK i ROBERTA SZYMAŃSKIEGO, dalej MAGDALENĘ JAWORZEWSKĄ w Mazurku Szymanowskiego, jak popis obiecującego narybku poznańskiej szkoły, nie wszystko wszakże wykraczało poza banal, a przy tym całość sprawiała wrażenie składanki, dalekiej od nastroju i tradycji „teatru tańca”.

Wieczór drugi wypełnił tryptyk, zatytyłowany „W cieniu” w chore-

Wspomaga choreografa znakomitą scenografią Ireneusza Domagali, posługująca się sugestywnym znakiem plastycznym jako skrótem myślowym, jak np. ogromnym wahadłem odmierzającym złowieszy upływ czasu, albo zwiastującym węzłem, który do końca pozostaje nie rozplątany. Należy się też uznanie Delfinie Ambrozjak za piękne solo w „Angelusie” Kilara.

Dodajmy, iż w obu programach zespół wykazał się rzetelnym opowaniem swojego artystycznego warsztatu, o co ostatnio u nas nielato.

Tak więc, zapewne ku zaskoczeniu wielu widzów „W cieniu” Mirosława Różańskiego okazało się jak gdyby przedłużeniem tradycji Polskiego Teatru Tańca, który, miejmy nadzieję, odzyska pod nowym kierownictwem dawny blask i świetność.

JERZY KWIECIŃSKI

ANDRZEJ GRUN

„Artur Sandauer — wybitny krytyk literacki i tłumacz spotka się z miłośnikami literatury 9 grudnia 1988 r. (zaproszony przez Centrum Kultury Młodych) w sali KMPiK przy ul. Narutowicza i dwie godziny później w klubie „Krezus” przy al. Kościuszki w Łodzi” — anonowała prasa codzienna.

Gdyby zwrot „miłośnicy literatury” potraktować serio i dosłownie, wysnuć by można dwa wnioski: że miłośników tych jest w Łodzi niewiele (zaledwie kilkanaście osób w KMPiK i jeszcze mniej w „Krezusie”), a łódzcy literaci, krytycy literatury i tłumacze do miłośników swych muz nie należą, bo nikt z nich nie przyszedł na spotkanie.

W Klubie Prasy prof. Artur Sandauer siedział na wprost sali jak nauczyciel przed klasą, w „Krezusie” było bardziej swobodnie przy świecach, wszyscy przy jednym stole, blisko gościa; wytworzył się więc nastrój intymności i nieskrępowania. Ci którzy przyszli nie żalują z pewnością bo spotkania były udane, dzięki Sandauerowi i kilku dyskutantom bynajmniej nie letnie, żywe, interesujące, z wieloma nieszablonowymi wypowiedziami.

Profesor nie przywiózł ze sobą żadnego referatu, ani nie zamierzał wygłaszać odczytu. Po krótkim wstępie przezeń wygłoszonym, zebrani zadawali pytania. Bardzo różne. Pilot i opiekun Artura Sandauera — poeta Henryk Zasiłowski — usiłował kierować rozmowę tylko na tory dotyczące literatury, ale nie zawsze mu się to udawało. Zebranych (a szczególnie jednego) interesowały również problemy dotyczące Biblii, czasów biblijnych, Chrystusa, itp.

Poniższe sprawozdanie stanowi zapis nieautoryzowany najciekawszych wypowiedzi profesora i odpowiedzi na zadawane pytania. W takiej kolejności, jak na spotkaniach.

— Tłumaczę ze starogreckiego, Biblii, starohebrajskiego, niemieckiego, rosyjskiego, i tak dalej. Pokazuje, na czym polega dobry przekład, bo ta sztuka u nas złyżacznie leży. Co ja mówię: leży?! Młodzieży daje się chałę, chłam i mówi, że to arcydzieła literatury światowej. Nie dajcie się wodzić za nos, wprowadzać w błąd! To jest grafomania pana X., a nie np. Goethego czy Szekspira. Począwszy od Jastrunów, Ważyków, którzy nie znali języka, z którego tłumaczyli, ani języka, na który tłumaczyli. Postanowiłem sam dać przekłady arcydzieł obcych polskiemu językowi.

— Nasze mecenaty: socjalistyczny i katolicki są prowadzone z pełną niekompetencją na niekorzyść kultury polskiej. Najbardziej kładzie nam literaturę polityczną, a raczej polityczką — różne burze w szklance wody. Jeśli ktoś miał dobrą pozycję, zawsze był drukowany, choćby był grafomanem. Dotyczy to i obywateli dyktando i oficjalnego.

— Jestem czarownicą i sytuację widzę czarno. Młodzież jest niedokształcona, przede wszystkim źle mówi po polsku. Szkoła jest niedobra, nauczyciele źli, itd. Ta klasa zaczęła się w 1945 r. Na przykład skreślono wtedy ze szkoły łacinę. A bez tego czytać nie można nie tylko Pascala, ale i Sienkiewicza.

— Tak zwani krytycy literatury nie znają dobrze języka polskiego. Wytykają mi użycie słów, np. „gruchot” (w znaczeniu „hałas”) i „układ” (w znaczeniu „ład”, „porządek”). Oni znają je jako „wrak samochodu” i „siłwa”. To są krytycy? Faceti, którzy nie znają innych znaczeń polskich słów?

— Nie czytam dużo w języku polskim. Przede wszystkim czytam literaturę zagraniczną.

— Przykłady słowoczyściwego? Na przykładzie „Ulissesa” mogę powiedzieć, że nie jest to dobry tłumacz. On jest tak dobry, jakim go ogłoszono.

Pytanie z sali: — Jak to się stało, że w 1943 r. uciekł pan z getta?

— Dlaczego pani nie czyta gazet? W „Życiu Literackim” drukują się wspomnienia mojej siostry, która nie mieszka w kraju;

znajdzie tam pani moją osobę. Co ja będę opowiadał. Niech pani czyta.

Głos z sali: — Niech pan coś powie o Lwowie, mieście swojej młodości.

— A co ja wam będę opowiadał o Lwowie, wszyscy znacie. Tam studiowałem pięć lat; ale nie związałem się z miastem. Związałem się z Krakowem, do którego później się przenieśliśmy. Jedyne człowiek, z jakim się przyjaźniłem w Lwowie, to Leon Chwistek.

Jakiś człowiek w pierwszym rzędzie czyta sobie bez skrępowania gazetę. Artur Sandauer, wyraźnie poirytowany prosi, by przeszedł do innej sali, bo rozprasza uwagę. Facet nie przechodzi, ale składa gazetę.

Artur Sandauer i miłośnicy literatury.

Klerk, który Polskę wraca Europie

MAREK KOPROWSKI

Pytanie z sali: — Jak doszło do tego, że zaczął pan tłumaczyć z języków obcych?

— Przez czterdzieści miesięcy ukrywałem się na stryżku na słonie. Znałem na pamięć poemat Włodzimierza Majakowskiego „Dobrze” Jest tam fragment odnoszący się do sytuacji trojga ukrywających się, prawie identycznej z naszą sytuacją. Wtedy, w tym ukryciu, zacząłem tłumaczyć.

— Tłumaczę dużo, nie tylko poezję. Myślę, że wiele z tych tłumaczeń weszło w krwioobiegi literatury. Jednak szkoła, Ministerstwo Edukacji mnie nie popiera, opozycja też zresztą nie. Ja jestem sam sobie.

— W Rilkego wprowadził mnie Bruno Schulz. Gdy jeździłem do niego do Drohobycza na niedzielę, zastawałem go śpiącego nad Rilke. Czytał mi go głośno po niemiecku. Później uparłem się, by mojej dziewczynie pokazać, kto to jest Rilke, a ona nie znała niemieckiego.

Pytanie: — Jak pan profesor myśli, czy Chrystus był, czy też go nie było?

Profesor cierpliwie odpowiada, w dłuższym wywodzie przedstawia różne teorie, ale nie chce niczego przesądzać, pozostawiając kwestię do indywidualnego uznania. Uważa, że jest to kwestia wiary.

Ten sam głos pyta o sąd profesora na temat paraleli przeprowadzonej przez O. Demain pomiędzy Sokratesem a Chrystusem. — Obaj umarli niewinnie. Obaj nie napisali sami ani słowa. Ich uczniowie o nich pisali, oni zdecydowali, że są dżi, czym są. Sokrates dał początek całemu ruchowi filozoficznemu. Filozofia grecka dzieli się na przed- i posokratejską. Chrystus podobnie.

Pytanie, które zdenerwowało gościa: — Czy pan poznał Gombrowicza?

— Jak to, czy go poznałem??? Ja go zrobiłem!!! Pierwsze recenzje w Polsce, pierwsza we Francji — to moje! Jak to, czy go pozn...?

Pytająca brnie jednak: — W moim odczuciu w jego „Dziennikach” nie wyczułam bliskości, zażyłości.

— Jak to, nie wyczułam... Piszę o mnie z najwyższym podziwem: „Sandauer, klerk, który Polskę wraca Europie”. Jak to...? Jak to, nie wyczułam? Jak to...? Gombrowicz, Schulz i ja, to był swego czasu taki trójsofusz. A pani nie wyczuwała!

— Nie mam instynktu korzyści. Jeśli mi się coś nie podoba, mówię. Czasem mówię, co mi ślina na język przyniesie i czasem później tego żałuję. Ale i tak mówię. Może zrobię sobie wroga, może przyjaciela, ale powiem prawdę. Jestem po prostu, może nie tyle odważny, co autentyczny. Mogłem robić karierę pisząc o mocarzach „na kłęczkach”. Błóński napisał tekst o Miłoszu właśnie „na kłęczkach”. Później jeździł, zapraszany, na różne uniwersytety mówić o nim. To są dolary, krocie. Ja tego nie robię.

— W 1962 r., gdy ukazał się tom Schulza z moim wielkim wstępem i Schulz zaczynał zdobywać rozgłos światowy, oddano mi wtedy paszportu. To było haniebne. Później nigdy nie miałem z tym kłopotów.

Pytanie: — Dlaczego zajął się pan krytyką literacką będąc filologiem klasycznym?

— Nie jestem sensu stricto krytykiem literackim. Różnie się od Błóńskiego, Pieszczałowicza, Metra na pewno. Jestem nie krytyk, ale pisarz. Bo mnie czytać można, a ich nie można. Jestem mieszkanką krytyka i artysty. Nie piszę dla kolegów. Jak IBL-owcy, a dla szerokiej publiczności nawet tej nieuniwersyteckiej. Gdyby nie ja, nie byłoby Schulza ani Gombrowicza. Na filologii klasycznej nauczyłem się warsztatu. Szukałem tam jednak sztuki. Urodziłem się w biednej rodzinie, w Samborze. Chciałem się „uzachodnić”. Filologia klasyczna — to był środek. Jestem teraz człowiekiem kultury światowej, na pewno ponad poziom. Moim wzorem humanisty jest Erazm z Rotterdamu. Jestem humanistą, jaki się już badał w Polsce nie rodzi.

— „Imię róż”. To pokaz majsterstwa, choć autor nie ma zbyt wiele myśli do przekazania. Niedorzeczny pomysł genialnie przeprowadzony. Pomysł „wyciągnięty za włosy”, zrobiony z diabelną zrzecznością i diabelną erudycją.

Pytanie: — Walczył pan o przybliżenie kultury, literatury śródziemnomorskiej Polsce. Z jakim skutkiem?

— Chyba żadnym. W Ministerstwie Edukacji siedzą urzędnicy niedouczeni, leniwi, oni nie chcą tego. Porównuję się z Boyem. Górą nad nim zasięgiem zainteresowań translatorskich, ale wstępuję mu jako pisarz. On chciał dać Polsce zastrzyk francuskiego racjonalizmu i też mu się nie udało. Boy przegrał. Moje życie zamyka się podobnie jak Boya. Niewiele zdziałalem. Każdy z układu może położyć mi jeden palec.

— W 1986 r. władze oświatowe dowiedziały się, że wychodzi „Faust” i włączyły go do lektury szkolnej. W 1987 r. dowiedziały się, że tłumaczył, wycofały więc „Fausta” i dały na to miejsce „Cierpienia młodego Wertera”. Jak się ma Werter do Fausta — nie muszę mówić. Siedzą potężni urzędnicy i decydują. I nie ma dla nich znaczenia, że tłumaczę lepiej niż inni w Polsce.

— Minister Aleksander Krawczuk uważa, że kultura polska jest u szczytu. Ja sądzę akurat odwrotnie. Nie jestem jednak dokładnie wprowadzony w te sprawy, więc nie lubię o tym gadać, tak jak nie lubię mówić, czy jest Chrystus, czy go nie ma.

Drugie spotkanie z prof. Arturem Sandauerem skończyło się około godziny jedenastej w nocy.

Kto to jest terrarysta?

Ukarane lenistwo — szczur pogryzł węża boa

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Przerażliwie brzydzę się peizajacymi stworzeniami. Jeszcze w czasach, kiedy biegałem w Bieszczadach w krótkich spodenkach i z kracją pod szyją — przed ułożeniem się do snu w namiocie — dokładnie sprawdzałem w świetle latarki, czy pod kanadyjką nie leży żmija zygzakowata. Także dziś, gdy przekraczam próg zaplecza pracowni biologicznej w Szkole Podstawowej nr 198 na Widzewie-Wschodzie, nerwowo rozglądam się po zakamarkach ciemnego pomieszczenia, czy aby któryś z 30 węży nie wyruszył samowolnie na moje powitanie.

Ich właściciel, nauczyciel Krzysztof Leśny rozszyfrował mnie w okamgnieniu: — Od razu poznałem, że pan się ich trochę boi.

Ojej, brzuch się panu rusza!

— Urodziłem się i wychowałem w Nowej Soli w domu z dużym ogrodem na skraju lasu, w którym nigdy nie brakowało różnych zwierząt. Ojciec był jednym z pierwszych w tamtych stronach hodowców nutrii. To właśnie w Nowej Soli kupiłem od kolegi pierwsze węże do hodowli, jaką zamierzylem — już po ślubie w naszym nowym mieszkaniu na Widzewie-Wschodzie. Były to 2 młode boa tęczowe po około 25 centymetrów każdy. Za oknem straszna zima, do Łodzi 300 kilometrów po wolnym pociągami osobowymi. Aby zwierzęta mogły przeżyć niedogodności tej podróży, zapakowałem je do linańców woreczka, tak jak to robi każdy doświadczony terrarysta. Woreczek trafił pod kołosa na brzuch, dzięki czemu boa miały zapewnioną odpowiednią temperaturę.

Brzuch mam niemy. Uwypuklał on ruchy węży pod kołosa. Co chwilę poprawiałem położenie niewygodnego „bagażu”, a to z kolei wzbudziło naturalne zainteresowanie osób w przedziale. Przyznałem się siedzącej obok dziewczynie, co ze sobą wiozę. Nie uwiaryła mi chyba na słowo, bo dotknęła palcem zawiniątka. „Ożyło” w jednej chwili. Dwie współpasażerki oglądające to zajście natychmiast czmychnęły na korytarz. Pozostali zajęczyli sobie odcierzać zawartość woreczka.

Bynajmniej przygoda nie skończyła się na tym. Dotarłem do domu o piątą nad ranem. W mieszkaniu było zaledwie 13 stopni Celsjusza. Stanowczo za chłodno dla ciepłolubnych gadów. Ogarniała mnie senność. Po cichu usunąłem się pod kołdrę nie budząc sony. Pod pachę schowałem worek z węzami. Nie mogłem ich położyć na kaloryferze, bo z jednej strony

i tak miałyby za zimno. Z obawy o ich bezpieczeństwo nie mogłem zmruznąć oka. Po przebudzeniu małżonka zapytała o węże. Kiedy dowiedziała się, iż spała z nimi, w wielkim popłochu opuściła łóżko. Wkrótce jednak spodały jej się, a pierwsze terraria założyłem w regałce zynka w jego pokoju.

Prywatna menażeria w państwowej szkole.

— Gdy Przemek poszedł do I klasy Szkoły Podstawowej nr 33 na Widzewie-Wschodzie, w terrariach były już obok boa tęczowych węże zbożowe. Kolekcja tak się rozrosła, że 2 pokoje w blokach to było stanowczo za mało. Postanowiłem je przenieść do pracowni biologicznej w szkole syna, ale dyrekcja nie wyraziła zgody. Nie było miejsca, ja byłem jeszcze wtedy zupełnie obcym człowiekiem. Nikogo nie przekonała argumentacja, że mógłbym w rewanżu za przysługę poprowadzić zajęcia w kółku biologicznym.

Do tej szkoły trafiłem niejako służbowo, bowiem z racji wykonywanego wówczas zawodu zjawilem się, żeby wytypić prusaki zadomowione w kuchni. Zaproponowałem dyrektorowi Henrykowi Czyżewskiemu uszczęśliwienie większą ilością węży. Wzwał do siebie nauczycielkę uczącą biologii. Hodowała już bez żadnych kłopotów trafiła w dobre miejsce. Ja zrezygnowałem z prowadzenia zakładu dezynsekcji i deratyzacji. Uczę teraz dzieci. Mam z nimi zajęcia techniczne. Z racji swego hobby i półrocznego zatrudnienia w ogrodzie zoologicznym w charakterze pielęgniarza zwierząt, prowadzę kółko biologiczne. Przez każdy z 6 dni tygodnia przewijają się przez zaplecze obu pracowni biologicznych po 6 uczniów dziennie. Nie ma warunków ani powodów, aby robić z tego maśółkę.

Oglądałem już kilkanaście terrariów prywatnych właścicieli, ale u żadnego z nich nie widziałem ich tak fachowo zagospodarowanych. Tylnie, boczne ściany wymurowane kamieniami, posiadające półki, starannie zabezpieczone. W pomieszczeniach piwnicznych, gdzie znajdują się zaplecze hodowlane, widzę przestronne szafki, które ucielałyby po wiosennej powodzi. Gospodarczym sposobem zostaną przebudowane na bardziej wygodne kociołki.

Krzysztof Leśny wozł węże do innych szkół na lekcje pogładowe. Półtoragodzinna prelekcja dla szóstoklasistów kosztuje 1,5 tys. zł, a na to

stać każda placówka oświatowa. W objazd zabiera również worki linańce. Na dno kładzie zimną porą pojemnik 5-litrowy z gorącą wodą, nań wędrują mniejsze worki z pytonem, boa, na wierzch leżące okazy. Przed utratą ciepła okładają zawartość ręcznikami.

Idea objazdów chwyciła do tego stopnia, że II Liceum Ogólnokształcące zakupiło 3 młode węże pończoszniczy na zaczyn własnej menażerii. Sek w tym, że nikt by nie rozliczył takiego dziwnego rachunku, więc transakcję zawarli... biolog. Warto dodać, że w liceum tym pobiera nauki 2 absolwentów 198 szkoły: Wojtek i Grzegorz. Również w szkole Przemka zainteresowano się egzotyką i wzięto od jego taty min. axelotle meksykańskie, rzadki okaz płazów, przez całe życie pozostających pod postacią kijanek, o czym jeszcze będzie mowa.

Kaligula jest wśród myszy.

Do najciekawszych okazów należy 5 dorodnych pytonów tygrysi. Kiedy tylko pojawiły się w szkole, dzieci pierwsze chciały je brać na ręce, natomiast nauczyciele przyzwyczajali się do nich raczej opornie. Wszystkie pochodzą z łódzkiego zoo z nadwyżek hodowlanych, kierowanych do sprzedaży, ale dostępnych tylko dla doświadczonych terrarystów. Szósty członek tej rodziny zachorował z powodu infekcji, a jego zejście przyspieszyło wyłączenie światła przez elektrycznie na 16 godzin. Próbował go ratować. Weterynarz polecił wziąć wymaz do badania. Aby przyspieszyć pomoc, Krzysztof Leśny oddał próbkę do spółdzielczego laboratorium podając, że to wymaz z... jego gałki ocznej.

Kiedy było po wszystkim, zdjął skórę i przypięł ją wilgotną jeszcze na drzewo. Odeszła razem z lakiem. Na rynku ma większą wartość od żywego węża.

Wśród 6 boa dusicieli i tęczowych jest jeden pogryziony przez szczura. Wąż nie był głodny, kiedy wpuszczono mu śniadanie. Szczur po 2 dniach sam tak zgłodził, że pogryzł niedoszłego oprawcę do żywego mięsa, czego śladem są rozległe blizny. Gad wrócił już do siebie, ale jego skóra nie bardzo już się nadaje na szpilki do teatru.

Rzadkość w kraju stanowią 4 boedony — węże mahoniowe z Afryki. Tylko 2 polują samodzielnie, pozostałym trzeba pakować uspio. Należą do noworodki do rozwartego pyszczka. Natomiast 3 rodzime żmije zygzakowate (jedna czarna) urodziły się w niewoli, ale ich jad jest niebezpieczny. Dlatego ich opiekun przy sprzątaniu terrarium woli je przedtem sprokować do ukąszenia dłonią w rękawicy. Następnie ich ukąszenia pozostawiają — niegroźny ślad, jak po ucięciu przez komara.

Zgierski hodowca jadowitych żmij zwierzył mi się kiedyś, że kiedy pupil go niespodziewanie zaatakował, o mało co nie dobił się zastrzykiem z polskiej surowicy. Jad żmij z bieszczadzkiej kniei jest rzadko śmiertelnym zagrożeniem, chyba że popadnie na anemika albo człowieka chorego na serce.

Gady z kolekcji szkolnej, choć łagodne jak baranki, potrafią czasem przysporzyć problemów. W wakacje wąż podważył drzwi nie zabezpieczone zasuwką, a tylko zamknięte na klódeczke. Krzysztof Leśny przeżył chwilę grozy, bo otwarte okna mogły skusić węża. Fak-

tycznie skrył się pod szafą, której nie sposób było odsunąć. Nauczyciel spędził noc w portierni, aż wreszcie o pierwszej zdybał uciekiniera na podłodze.

Dla tylu zwierząt nie starcza ponad 150 myśli i szczurzych rodzin, rodzących żywy pokarm. Menu trzeba uzupełniać 15 gołębiami miesięcznie. Odławiają je na osiedlu aktywiści kół biologicznego. Czasem sami bywają chwytni przez dorosłych miłośników przyrody. Na skutek skarg niektórych widzów na gołębie, nie będące pod ochroną, a roznoszące choroby, administracja osiedla obiecała ich wytrzebiecie. Milicjanci z miejscowego posterunku już nie mają cierpliwości odpowiadać, że chłopcy nie kłusują, ale szukają pokarmu.

Tylko szkolna mysz o podwójnym ogonie ma długie życie przed sobą. Jest owocem zbliżenia samca i samicy, blisko z sobą spokrewnionych. Jako egzemplarz zdegenerowany — została skazana przez naturę na bezpotomność.

Ingerują w procesy ewolucji.

Trochę w cieniu węży hodowli pozostają meksykańskie axelotle, występujące w naturze tylko w 2 jeziorach. Są one brzydkie, jeśli nie liczyć albinosów, i podobne do jaszczurek. W 1917 roku po raz pierwszy w świecie spróbowano przyspieszyć procesy ewolucyjne i te prymitywne, wodne płazy ogoniaste przemieniły w lądowe gady. Kontynuatorem tych doświadczeń jest dr Ryszard Skowroński, uczący w olsztyńskim liceum. Krzysztof Leśny wraz ze swoim pomocnikiem z VIII klasy — Krzysztofem Nawrotem trafili na ślad publikacji w „Biologii w szkole”. Poszukując własnych rozwiązań. Chłopiec wzbudził zdziwienie zamawiając uczone księgi w bibliotece uniwersyteckiej.

Podaje axelotlom hormon tarcozy albo rozpuszczając tabletki w wodzie, albo doustnie. W wyniku tych prób dochodzi do metamorfozy axelotli: wychodzą one na „ład”, zaczynają oddychać płucami, tracą skrzelną wewnętrznie, a pletwa ogonowa ulega zwięzieniu. Axelotle pozostają w wyglądzie kijanek, jednakże podobnie jak jaszczurki żyją poza zbiornikami wodnymi.

— W Łodzi nie ma tak jak w Warszawie Klubu Hodowców Wężów przy Polskim Związku Akwarystów. Łódzianie jeżdżą więc na zebrań do stolicy. Już od roku klub nie może zorganizować wystawy. Jeżeli w przyszłości otrzymam w szkole całą pracownię, będzie można zorganizować ekspozycję nie tylko na potrzeby dydaktyczne, ale również okresowo u dostępną dla mieszkańców osiedla, tak jak szkolny basen.

Z Wojciechem w świat

Wielkanoc Wiosna Wakacje 1989

Z Wojciechem po Polsce

Dla twojej rodziny, przyjaciół i znajomych z całego świata

WIELKANOC I WIOSNA

samolot

4-6-dniowe pobyty w Atenach, Londynie, Paryżu + Lourdes, Helsinkach + Tampere.
Kwiecień — czerwiec, cena od 90 dol. USA do 160 dol. USA + ok. 90.000 zł, 14 dni Egipt.
W programie: wg życzenia 3 dni w Luksorze, 4 dni w Jerozolimie (Izrael), 3 dni w Aleksandrii.
Cena od 280 dol. USA do 410 dol. USA + 140.000 zł.
Od 20 marca do 20 czerwca, co 2 tygodnie.

WAKACJE 1989 R.

Autokarem — przez campingi świata

20-dni — Grecja z 7-dniowym pobytem na Peloponezie, cena ok. 90 dol. USA + 90.000 zł.
22 dni — 3 morza — Czarne — Śródziemne — Egejskie, cena ok. 100 dol. USA + 98.000 zł.
22 dni — za Krag Polarny — Finlandia — Norwegia, cena ok. 290 dol. USA + 40.000 zł + bilet na prom do Helsinek.
25 dni — Grecja i Włochy (promem przez Adriatyk) — cena ok. 165 dol. USA + 96.000 zł.
30 dni — Hiszpania i Maroko (Sahara) — cena ok. 185 dol. USA + 130.000 zł.

Własnym samochodem

KORSYKA — camping 7 lub 14 dni pobytu + opłacony prom z Marsylii lub Nicei — zakwaterowanie w przyczepach campingowych lub bungalowach, własne wyżywienie. Za 7 dni od osoby 190 dol. USA, tydzień dodatkowy od 75 dol. USA do 320 dol. USA.
SARDYNIA — Hotel — 7 lub 14 dni pobytu + opłacony prom z Nicei lub Marsylii — zakwaterowanie: apartamenty 2- i 3-5-osobowe z łazienkami, własne wyżywienie — ceny od 350 do 560 dol. USA, tydzień dodatkowy od 350 do 460 dol. USA.
BALZARY — Hotel — ceny od 350 do 560 dol. USA, całodzienne wyżywienie, cena od 450 do 520 dol. USA za 1 tydzień — tydzień dodatkowy ok. 270 dol. USA.

Tam lub z powrotem samolotem lub autokarem, zakwaterowanie camping (własne namioty)
22 dni — Sycylia, cena ok. 320 dol. USA + 145.000 zł.
16 dni — Grecja, cena ok. 250 dol. USA + ok. 120.000 zł.

Samolotem

11 dni — pensjonat z 1 posiłkiem w rejonie Rzymu, ok. 310 dol. USA + 95.000 zł.
16 dni — pensjonat z 1 posiłkiem Grecja — Peloponez, ok. 370 dol. USA + 95.000 zł.
16 dni — pensjonat z 1 posiłkiem Turcja, rejon Izmiru, ok. 370 dol. USA + 95.000 zł.

Ceny zgodne z kosztami z grudnia 1988 r.

DLA WSZYSTKICH RODZIN, PRZYJACIOŁ, ZNAJOMYCH z całego świata organizujemy wypoczynek i zwiedzanie POLSKI, pomagamy załatwić bilety na samoloty i wizy, itp.

INFORMACJE — ZAPISY — BIURO PODRÓŻY mgr tur. Wojciecha Marzyńskiego, 90-135 Łódź — ul. Narutowicza 24, tel. 32-02-71 lub 32-21-98, od poniedziałku do piątku w godz. 10-17.

3627/K

Polmatex Majed

LÓDZKA FABRYKA MASZYN JEDWABNICZYCH W ŁODZI

producent maszyn dla przemysłu włókienniczego i chemicznego

ORGANIZUJE

PRZESZKOLENIE I PRACĘ

w zakresie obsługi obrabiarek sterowanych numerycznie, obrabiarek skrawających, centrów obróbkowych, galwanotechniki oraz montażu maszyn włókienniczych również dla absolwentów techników.

OPERUJE

atrakcyjną pracę

INŻYNIEROM I TECHNIKOM

szczególnie w specjalnościach:

- technologii budowy maszyn
- konstrukcji maszyn włókienniczych
- konstrukcji form do tworzyw sztucznych
- konstrukcji oprzyrządowania do obróbki skrawaniem i plastycznej
- powlekania galwanicznego i lakierniczego.

ZATRUDNI

PRACOWNIKÓW WYKWAŁIFIKOWANYCH

i do przyuczenia w zawodach:

- ▲ TOKARZ
- ▲ FREZER
- ▲ WIERTACZ
- ▲ SZLIFIERZ
- ▲ ŚLUSARZ
- ▲ MONTER MASZYN
- ▲ BLACHARZ
- ▲ ELEKTRYK
- ▲ ELEKTRONIK

INFORMUJE

MONTERZY MASZYN, ELEKTRYCY I ELEKTRONICY

delegowani są do prac przy montażu do wielu krajów świata.

Chętnym umożliwiamy podjęcie dodatkowego zatrudnienia na terenie przedsiębiorstwa.

Nie przyjmujemy osób po porzuceniu pracy.

Posiadamy ośrodki czasowe nad morzem i rzeką Wartą, prowadzimy wymianę czasów z przedsiębiorstwami w NRD.

Szczegółowych informacji udziela Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, Łódź, ul. Zeromskiego 96, tel. 36-05-26 lub 36-57-00, wew. 115.

7825/K

Polmatex Majed

„WESTA”

WSZYSTKIM!

z wyjątkiem naszych klientów, którym Polisa Westy już go zapewnia

Z Y C Z Y M Y

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU

Rok szczęśliwy, to rok bez kłopotów.

Ty też możesz sobie go zagwarantować kompleksowo ubezpieczając się w „Weście”.

Czekamy na Ciebie!

Nasz adres: Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

3625/K



Rok założenia 1988

CIEBIE RÓWNIEŻ ZATRUDNI

SPÓŁDZIELCZY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ „WESTA”

Z A T R U D N I

osoby z odpowiednimi predyspozycjami, na stanowisko

„REJONOWY POŚREDNIK UBEZPIECZEŃ”

w układzie stałej umowy o pracę lub na umowę zlecenie.

WYSTĘPOWUJĄC W IMIENIU WŁAŚNICZY — PROWIDZ

Westa zapewnia, że sześciocyfrowe prowizje dla operatywnych pracowników nie są u nas czymś wyjątkowym.

Zastanów się! Może właśnie tego szukasz!

Nasz adres: Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

3626/K

Wzajemne stosunki sąsiadujących ze sobą narodów rzadko kiedy odznaczają się serdecznością i przyjaźnią, zwłaszcza gdy aspiracje społeczeństw i dążności ich duchowych i politycznych przywódców są sobie przeciwstawne. Pogorszenie się przyjaźni nawet stosunków sąsiedzkich następuje zwykle z chwilą wybuchu konfliktu zbrojnego lub w przypadku osłabienia przewagi ekonomicznej nad sąsiadem zza miedzy. Zaostrzenie napięcia między sąsiadującymi krajami stawało się często ważnym elementem polityki zagranicznej obcych mocarstw, jak miało to miejsce w naszej historii, gdy Rosja, Prusy i Austria wykorzystywały antagonizmy międzyplemienne dla realizacji celów własnej polityki zagranicznej.

Świadczy o mądrości ludu przysłowie: „póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”, ale już w przypadku Węgrów, z którymi stosunki nasze układały się w przeszłości raczej poprawnie, wymowa zbliżonego genetycznie przysłowia inaczej określa wzajemny układ we wspólnej rodzinie narodów: „Polak, Węgier — dwa bratanki, i do szabli, i do szklanki”. Tam absolutna negacja układu rodzinnego, tutaj wprost afirmacja dobrosąsiedztwa, jak w najlepszej rodzinie.

Nie dziwnego, stosunki polsko-niemieckie, podobnie jak i polsko-rosyjskie, zawsze obfitowały w tragiczne nieporozumienia, konflikty zbrojne i niekorzystne uwarunkowania społeczno-polityczne, sprzeczne z interesami jednostek i całych społeczeństw. Echa tych zdarzeń znajdowały zawsze swoje odbicie zarówno w literaturze politycznej i opracowaniach historycznych, literaturze faktu — reportażach i wspomnieniach, jak i w literaturze pięknej — poezji i prozie.

Niemcy w polskiej literaturze pięknej przedstawiani byli najczęściej w złym świetle, choć przyznawano im gospodarność i zamiłowanie do porządku. W niemieckiej literaturze podobnie, Polak rzadko bywał darzony sympatią, wyjąwszy powszechny entuzjazm i podziw dla czynu zbrojnego uczestników powstania listopadowego i współzuciele dla dobrowolnych emigrantów, uwiecznionych w popularnych tomikach wierszy, znanych pod nazwą „Polenlieder”.

Podobnie rzecz się miała w przypadku naszych wschodnich sąsiadów, którzy na ogół krytycznie odnosili się do wszelkich walk narodowowyzwoleńczych podejmowanych przez zachodnich pobratymców. Dla większości pisarzy rosyjskich polskie powstania stanowiły bunt przeciwko legalnej władzy i istniejącemu porządkowi rzeczy, zaś umieszczony przez Rosjan w Panteonie narodowej sławy Aleksander Wasiliewicz Suworow dla Polaków był tylko krwawym katem napiętnowanym rzezią bezbronnej ludności prawobrzeżnej Warszawy w ostatnich dniach insurekcji kościuszkowskiej. Przelana na szacach Pragi krew słowiańska stanowiąc miała na długie lata barierę nieprzejednania we wz-

Z różnych szuflad

Z rodowodu przyjaźni

jemnych stosunkach polsko-rosyjskich, podobnie jak dziś sprawa Katynia. Rzeź Pragi okazała się argumentem antyrosyjskiej poezji propagandowej podczas rozpoczynającej się kampanii napoleońskiej w 1812 r., np. w wierszu Franciszka Wężyka „Wiersz do wojska polskiego z okoliczności rozpoczętej wojny z Moskwą”:
Kto kuł senat w hydne pęta?
Kto przebrał miare zniewagi?
Kto drugągiel niemiowłeta
O zwłaski domów Pragi?

Ten wiersz pseudoklasycznego poety, zapamiętany przez Adama Mickiewicza i cytowany przezeń w drugim kursie literatury słowiańskiej w 1841—1842 r., mógł być przedmiotem sporu między nim a Aleksandrem Puszkinem, podczas ich spotkań w Petersburgu. Faktem jest, że Puszkina znał przypominany tu tekst Franciszka Wężyka a nawet polemizował z nim w osobnym wierszu, skierowanym do marszałka szlachty guberni kijowskiej hr. Gustawa Ołżara, dwukrotnie wziętna twierdzą Piotrowa-łowskię pod zarzutem uczestnictwa w spisku dekabrystów. Puszkina pisał:
Bywało, żeście świętowali
Sromotę Kremla (carów) pęta;
I myśmy wasze niemiowłeta
O grzyby Pragi rozbijali.
Gdyśmy w kurzawie krwi deptali
Szczeliny Kościuszkowskich piękno.

Wypomniałszy adresatowi wzajemne błędy przodków odwołał się poeta do epizodu z historii ojczystego kraju, gdy Polacy, po zwycięskiej dla nich bitwie pod Klusznym stali się panami Kremla, zaś niedawny władca Wasyl Szujski wraz z braćmi Dymitrem, jego żoną Katarzyną, i Iwanem został odesłany przez hetmana Żółkiewskiego w upokarzających pętach niewoli. Do niezbadanych tajemnic historii należy prawie równoczesna śmierć rodziny carskiej w 1612 r. (Wasyl — 26 II, Dymitr — 28 IX, Katarzyna — 25 XI), niby odwet za fiasko moskiewskiej polityki Zygmunta III.

Co bardziej oświeceni Polacy usiłowali dopatrzeć się w postawach przedstawicieli społeczeństwa rosyjskiego współzuciele dla uciskanego narodu polskiego, jak choćby Adam Mickiewicz w szambuchowym wierszu dla ks. Golicyna:
Jeśli wolność czuć i kochać umiesz,
W naszej rozmowie nie potrzeba słowa.
Ja twe westchnienia, ty me łzy rozumiesz
I dłoń uściśniesz — oto polska mowa.

Bratem nazwał Rosjanina dopiero Antoni Sowa (Edward Żeligowski) w wierszu „Do przyjaciół Słowian” (1838): „Plemienni bracia, bracia moi z ducha...”, ale wiersz ten wywodzi się z ducha panslawizmu. Wcześniej uznawano jedynie możliwość porozumienia z niektórymi tylko przedstawicielami narodu rosyjskiego, którzy opowiadali się jako wrogowie caratu. Popularna w polskiej literaturze pięknej nazwa „Moskal” dla określenia Rosjanina zawierała odciętą tak samo pogardliwy, jak „Szwab” w odniesieniu do Niemca, chociaż zarówno w jednym jak i w drugim przypadku nazwy te znajdują potwierdzenie geograficzne. Moskal to przecież mieszkaniec Moskwy miasta lub Moskwy księstwa (dawniej Moskwiń), zaś Szwab to mieszkaniec historycznej krainy leżącej w dorzeczu górnego biegu Renu i Dunaju.

Józef Meyzner tak uzasadniał powody użycia miana Moskal w tekście swego wiersza „Słowianin znad Wołgi” (1841):
„O wy, liczni bracia wielkiego Rylejewa, jeżeli kiedyś odgłos tej tułaczkiej piosenki waszych serc doleci, przebaczenie mi wyraży Moskal, stara Moskwa. Powtarzam, że często w mej piosence, lecz nigdy nie obejmują nimi, tylko to, co złe i ohydne i niewoli jest u nas narzędziem, tylko to, co obrzydło u was caratu haniebnym i nieczłowiecznym było lub jest żywiołem”.

W najbardziej dziś znanym wierszu poświęconym Rosjanom wielki poeta polski podjął wprost pogardliwie brzmiały rzeczownik „Moskal” z pięknym określeniem „przyjaciel”. Mowa tu o wierszu Adama Mickiewicza „Do przyjaciół Moskali”, poświęconym ze stosowną dedykacją: „Ten ustęp Przyjaciółom Moskałom — poświęca autor”. Wiersz stanowi rodzaj epitafium dla Rosjan sprzeciwiających się carskiemu despotyzmowi. „Kłótnia ludom, co swoje mordują proroki!” — wołał Mickiewicz w poczuciu bezsilności, gdy wspominał o swych „przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach” i wspólnym odbywaniu kary przez zesłańca Rosjanina, przykutego do jednej taczki z innym zesłańcem — Polakiem.

ANDRZEJ KEMPA

NR 1 (1605), 1 STYCZNIA 1989 R.

1

Lewym okiem

Nie wiadomo co...

„Odgłosy” zamieściły niedawno felieton Andrzeja Kempy o początkach spirytyzmu w połowie XIX wieku. Temat ten coraz to wraca i to w umysłach i pod piórem nawet takich ludzi, których trudno byłoby podejrzewać o łatwowierność. Namiętnym spirytystą był Artur Conan Doyle, znakomity twórca Sherlocka Holmesa. Słynny niemiecki filozof Arthur Schopenhauer wyraził się w swojej broszurze pt. „Próba widzenia duchów” tak:

„Nie wierzyć w pojawianie się duchów to dziś nie sceptycyzm tylko ignorancja”.

Zafascynowanie spirytyzmem nie skończyło się w połowie XIX wieku. Odżyło ponownie w końcu tegoż wieku, potem przyszła jeszcze jedna fala w latach dwudziestych, międzywojennych.

Działal wówczas w Warszawie dziennikarz i literat Teofil Modrzejewski, który jako Franek Kluski popisywał się publicznie swoimi niezwykłymi zdolnościami. Sam zresztą mówił, że nie rozumie ich, nie wie skąd się wzięły i do czego mogą służyć. Odrzucił propozycję impresaria amerykańskiego, proponującego mu wielkie sumy za tournée po Stanach Zjednoczonych, nie brał nigdy pieniędzy za swoje seanse. Był w „Kurjerze Porannym” kolegą redakcyjnym Tadeusza Boya-Zeleńskiego, którego nikt o mętne, metafizyczne mistyfikacje przecież nie podejrzewał.

W felietonie „Godzina w krainie czarów” pisał znakomity klasyk naszej esejistyki:

„Jestem z natury człowiekiem dość krytycznym. Byłem lekarzem, o ile to coś ma do rzeczy i nie mam najmniejszej wątpliwości co do realności tego, co widział”.

Widział na przykład, jak igła kompasu obracała się w dowolną stronę, zgodnie z poleceniem Franka Kluskiego, czasem igły dwóch kompasów jednocześnie w przeciwną stronę. Widział samoczynnie gasnące i zapalające się światło w pokoju. Uczestniczył wraz z sześcioma jeszcze uczonymi i literatami w seansie, podczas którego, przy pomocy uśpionego medium, przywoływano obrazy ludzkich twarzy i postaci, unoszące się nad stołem. Po pokoju krążyło błękitnozielone światło, zatrzymywało się, znikło i pojawiało znowu, zebrani czuli dotknięcia rąk ludzkich na czołach, ramionach i karkach, czuli je także sam Boy-Zeleński. Kiedy na środku stołu postawiono wazę z roztopioną parafiną, znalazłono obok niej po seansie odlaną dłoń ludzką, pustą w środku i cienkującą jak rekawiczka. Takiego odlewu nie można by sporządzić na żywej, ludzkiej dłoni ani na żadnym gipsowym modelu.

„Nie sięli się tu na tłumaczenie tych objawów — mówił Boy — sam Kluski odpowiadał po prostu — nie wiem, co to jest”.

Według autora „Siówek” można te przedziwne zjawiska tłumaczyć albo ingerencją świata duchów albo też tak, że wciąż mamy tu do czynienia z jakąś emanacją ciał i umysłów ludzi biorących udział w seansie. Pisarz skłaniał się do tej drugiej teorii i zakończył felieton tak:

„Rozumiem, że kto raz był świadkiem podobnych rzeczy, ten może — i takich jest wielu — utonąć z głową w seansach, które stają się zresztą nalogiem jak pijanstwo lub morfina. Co do mnie, nie czuję w sobie tej żylki, wolę pozostać przy moim dawnym sposobie obcowania z duchami. Ale wobec tak spornych jeszcze sposobów patrzenia na te sprawy, wobec esejistycznych szol-

bierstw, które dyskredytują nie tylko szalbierza, ale cały świat duchów w ogólności, uważam za swój obowiązek zanotować to, co widział, stwierdzając, że jestem zupełnie przekonany o realności zjawisk, na które patrzyłem i że zarówno mistyfikacje jak sugestie uważam tu za nieprawdopodobne”.

Podobno Edith Piaf wozila ze sobą po całym świecie małą kufkę stoliczek, przy pomocy którego rozmawiała z duchami. Ale to chyba nie duchy tylko...

Tylko nie wiemy co.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Pod prąd

Niespodziewany gość

Siadaliśmy właśnie do wigilijnej kolacji, kiedy z przedpokoju dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi.

— Kto to może być? — spojrzeliśmy po sobie zaskoczeni, gdyż nie spodziewaliśmy się już żadnych gości o tej porze. Poszedłem otworzyć. Za drzwiami stał starzec z długą, siwą brodą i wąsami w sięgającym kostek czerwonym płaszczu z kapturem. Jedną ręką przytrzymywał leżący obok sporych rozmiarów worek.

— To chyba pomyłka — odezwałem się na jego widok. — Nie zamawialiśmy... — i już miałem zamknąć mu drzwi przed nosem, gdy przerwał mi smutnym, nieco zachrypłym głosem:

— Prawda, ale ja nie jestem podrabiany. Można sprawdzić: nawet delegację mam. Parę drobniaków przyniosłem, a przy okazji, jeśli pozwolicie, ogrzać się trochę chciałem, bo straszny dzisiaj ziąb.

— W takim razie, proszę — powiedziałem po chwili wahania, starając się ukryć zakłopotanie. — Staropolskim zwyczajem mamy na stole jedno nakrycie więcej, dla zbłąkanego wędrowca, więc posili się... pan z nami i przełamię opłatkiem — co rzekłszy, zaprowadziłem gościa do stołowego.

Najmniej zdziwione były dzieci. Spowaźniały tylko nagłe i ucichły, wbijając wzrok w pękaty worek z prezentami. Gorzej — dorośli. Ci bowiem nie dosyć, że też zamilkli z wrażeń, to jeszcze wyglądali na zupełnie zdegustowanych, a nawet odrobnie przestraszonych. Dało się to wyczuć zwłaszcza w momencie, gdy podsunąłem staruszkowi krzesło i oznajmiłem nienaturalnie oficjalnym głosem, że możemy już zaczynać wieczerzę.

Oczywiście najpierw przedstawiłem go całej rodzinie — bardziej z obowiązku niż potrzeby, ponieważ wszyscy widzieli, kto zacy, po czym przedstawiłem z kolei wszystkich członków rodziny, co również okazało się raczej zbędne, jako że nasz nieproszony gość zdawał się każdego już doskonale znać.

Po posiłku, spożytym w skupieniu i powadze, św. Mikołaj przepłatał dzieci — jak każda tradycja — z pacierzem i czytał grzeczne, a gdy te przyznały zgodnie z prawdą, że różnie to bywało, wręczył im lale, misie i inne zabawki, którymi natychmiast poszły się bawić do drugiego pokoju.

— A teraz... — zwrócił się do nas, dorosłych i znowu zanurzył rekę w worek. — Teraz będą trochę inne podarki. Darujęcie że skromne, ale, wiecie, my także stosujemy zasadę: każdemu według zasług, czy jak się to mówi. Dla pani domu mam składany stoleczek, żeby czekając w kolejkach, mogła trochę przysiąść i odpocząć. Praktyczny, bo mały i

lekki. Mieści się w torbie na zakupy.

— Dla jej brata — szczyrych. Pełni, jak słyszałem, odpowiedzialną funkcję dyrektora w fabryce tekstylnej. Młody jest jeszcze, w sile wieku, ambitny, pomysłowy... Na pewno mógłby zrobić dużo więcej niż robi, gdyby nie miał czasem związanych rąk. No więc, taki nożyk dla niego jak znalazł! Tylko niech uważa bo bardzo ostry i łatwo poprzecinać przez niewagę także inne wiezy, a to nie byłoby dobre. Aha, proszę też od razu kwitować odbiór, bo będę się musiał potem rozliczyć.

— Dla szanownej pani dyrektorskiej, która przed laty wybrała sobie szlachetny i piękny zawód medyka — taki oto zgrabny pugilaresik. Przyda się po zapowiadanej regulacji plac. Muszę wskazać uprzedzić, iż ma on tę właściwość, że nie trzymają się go pieniądze zarobione w niegodny lekarza sposób. Ludziom trzeba pomagać w ich cierpieniu z serca, szczerze, co nie znaczy, że wyłącznie za „Bóg zapłać”, bo zaiste ciężka to i odpowiedzialna praca, a w szczególności dla kobiety, która więcej czasu powinna poświęcać domowi i dzieciom.

Syn mój dostał klucz. Podobno pasować ma do drzwi spółdzielczego mieszkania, jakie za kilka lat spodziewa się wreszcie otrzymać. Synowa — pudełko z uchem, żeby mogła się do woli wygadać, nie psując innym humoru swymi narzekaniami na trudne warunki życia młodych i przez to odeszła jej może ochota na wyjazd na stałe za granicę.

Ja natomiast pokwitowałem odbiór jednej paczki papieru maszynowego, którego ani w sklepach, ani w redakcji nie widziałem już od dość dawna, co powoduje, że felietony moje piszę ostatnio na papierze śniadaniowym.

— Bo tematów — powiedział św. Mikołaj — to długo jeszcze w naszym kraju wam nie zabraknie.

JÓZEF RETMAN

3

Sport

Kto nie nadaje się do zawodu piłkarza...

Mieć dobre samopoczucie — to połowa sukcesu, a może i gwarancja całego. We własnym przekonaniu przynajmniej. Takie wrażenie odniosłem, gdy przeczytałem w katowickim „Sporcie” obszerny wywiad z Kazimierzem Deyną. Po latach znów przypomniał się piłkarz ze słynnej drużyny Kazimierza Górskiego. Kto go dziś pamięta? Młodzi już nie. Ale wszyscy starsi, którzy interesują się piłką nożną, wiele mogą powiedzieć o Kazimierzu Deynie.

Na przykład o jego słynnym dryblingu, który czynił wiele zamieszania na boisku, a nie zawsze przynosił zamierzone skutki. Kazimierz Deyna jest jednak innego zdania na ten temat. Uważa, że nawet podczas gry w Manchesterze City wszystko było znakomite. Wszystko, tylko w Polsce ludzie na ogół nie znają się na piłce nożnej, gdyż tak „naprawdę na piłce zna się niewielu”.

Kazimierz Deyna nie odkrywa niczego nowego. Tę myśl, że w Polsce ludzie nie znają się na piłce nożnej powtarza się już do znudzenia. Zdziwiająca rzecz. Piłka nożna w zasadzie nie istnieje bez kibiców. Można wprawdzie grać przy pustych widowniach, ale takie granie na nic się nikomu nie zda. Przede wszystkim nie będzie — przynajmniej teoretycznie — za co wypłacić premii piłkarzom. Muszą więc być na widowni kibice. A ci jakoś

wiedzą, na jakie mecze warto iść, a jakie można sobie darować. Potrafią wcale trafnie ocenić grę drużyny, wyłapić markowanie gry, udawanie, nacłaganie kibica. Ale w opinii piłkarzy, trenerów i działaczy, na piłce nożnej w Polsce mało się kto zna.

Wojciech Łazarek — trener reprezentacji — powiada na przykład, że do przykrych doświadczeń minionego roku może zaliczyć „postawę niektórych dziennikarzy, którzy pisząc o reprezentacji i o mojej pracy, nie rozumiejąc niektórych decyzji, nie znając ich powodów, nadużywali prawa do krytyki”. Wojciech Łazarek nie rozumie, że kibic nie musi znać powodów, podtekstów, głębi zawilych kombinacji, on widzi skutki i na tej podstawie ocenia. Jeśli trener powiada, że pierwszą połowę drużyna przegrała wprawdzie 0:3, ale druga wygrała 1:0 to wedle tej śmiesznej kombinacji mecz powinien... zremisować, a przecież obiektywnie przegrała go 1:3. Na czym tu się trzeba znać? Na matematyce? Bo jak gra polska reprezentacja, każdy widzi.

Tygodnik „Piłka Nożna” robi co roku zestawienia najlepszych piłkarzy w kategoriach: klasa międzynarodowa — w roku 1988 ani jednego piłkarza tej klasy; klasa reprezentacyjna — w 1988 roku tylko 5 piłkarzy tej klasy; klasa krajowa. Tu mogę podać jako ciekawostkę, że do tej klasy zaliczono 11 piłkarzy ŁKS i 6 piłkarzy RTS Widzew. Brak zawodników klasy międzynarodowej jest faktem. Można wprawdzie ten fakt zakwestionować na przykładach Marka Leśniaka, Grzegorza Włęgka i Andrzeja Rudego, ale nie będąc czynię ponurych żartów.

Reprezentacyjnych meczów było 10. Odniesiono 6 zwycięstw, 2 remisy i 2 mecze przegrano. Można powiedzieć — wspaniały wynik. Tyle tylko, że liczby nie oddają siły i znaczenia przeciwnika. Ale fakty 6 zwycięstw to nie zmienia.

W tych 10 meczach grało 33 piłkarzy, co niektórzy uważają za rozróżność, a Wojciech Łazarek za rozsądną politykę kadrową, dającą mu możliwość wypróbowania sporej liczby zawodników. Inna rzecz, że tylko dwóch z nich grało we wszystkich 10 spotkaniach, ale jeden Jan Urban po całym meczu. Drugi — Damian Łukasik w meczu z Rumunią grał 25 minut, w meczu z Irlandią — 10 minut, a w meczu z Kanadą — 45 minut. Ryszard Tarasiewicz grał w 9 meczach — nie grał w meczu z Albanią, ale większość meczów, bo 6, grał tylko po 45 minut. Dariusz Dziekanowski grał tylko w 3 meczach. Inni różnie. To fakty. Można je różnie interpretować.

Wojciech Łazarek marzy o awansie do eliminacji mistrzostw świata. Kto by nie marzył? Ja też marzę, aby nasi awansowali, ale daję im małe szanse. Zresztą awansować — to mało. Trzeba też podczas samych mistrzostw pokazać, co się umie. A u naszych piłkarzy z umiejętnościami skąpo. Dlaczego? Z powodu braku konsekwencji.

Jan Tomaszewski, który zawsze ma swoje zdanie i się z nim nie kryje, utrzymuje, że wyświeciłem z sytuacji byłoby wprowadzenie prawdziwego zawodowstwa, gdzie każdy zawodnik znałby swoje prawa i obowiązki. Ich naruszenie stawałoby go poza zawodem. Nie byłoby patrzenia na zespół od niedzieli do soboty, tylko drużyny wykrystalizowałyby się. Kto się do zawodu nie nadaje, ten musi zrobić coś innego. Trzeciego wyjścia nie ma.

Piłkę nożną widziano by realnie i zgodnie z faktami. Nie byłoby ochów i achów zachwytu po przegranej z drużynami Barcelony i Realu Madryt, że przegrano z takimi znakomitymi przeciwnikami. Co ma zerkomo naszych nieudaczników nobilitować. W Hiszpanii prasa nie pozostawia na piłkarzach obu klubów suchej nitki, wytykając im wszelkie zauważone braki i popełnione błędy. A oni! Przecież wygrali i awansowali! U nas wszyscy by już dawno kłęczeli. Piłkarze Barcelony i Realu Madryt krytykę przyjęli z pokorą i nie wytykają kibicom, że się na piłce nożnej nie znają. Tyle, z grubsza, mówi Jan Tomaszewski.

Alle rok mamy już nowy, więc i nadzieja jest na to, że i w piłce nożnej coś się zmieni. Oby!

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

— Powiedziała ci, że królowa Zylka zabita ogiera Piastuna. Czy to dlatego zapragnęłaś mieć takiego samego? — ośmieliła się zapytać.

Tak — odparł. — Ponieważ Piastun żyje i musi mieć białego konia. Darujesz mu go, kiedy się pojawi i ukarze zdrajców. Za to nada ci wiele wiosek i obdaruje sękami niewolników.

Dago wiedział, gdzie należało szukać białego ogiera. W Spicimierzu, u Awdanów i Paluków, bo tam jego Vindos kilkakrotnie pokrył klacze. Ale przecież nie mógł tak daleko wysłać synów Kłodawy.

Późnym zimowym świtem Kłodawa uniosła się na lokciu na swoim łożu i długo wpatrywała się w twarz śpiącego przy niej mężczyzny. Kim on był naprawdę? Skąd przybył i dokąd zmierzał? Przez głowę przebiegały jej dziesiątki podejrzliwych myśli, chwilami nawet zastanawiała się czy nie ma on czegoś wspólnego z owym przedziwnym Piastunem, bo tak bardzo przejął się śmiercią białego ogiera. Ale ów Piastun — jak słyszała — pięknie władał mową Sklawinów, a ten znał tylko język Normanów. Twarz mężczyzny była piękna, jego ciało z każdym dniem stawało się silniejsze i zdrowsze. Pociągał ją i to wydawało się jej teraz najważniejsze. Miała go przy sobie, a nawet w sobie.

Dago nie spał, a tylko leżał z przymkniętymi oczami. Nie wiadomo dlaczego wspominał ojca Dagoberta i nauki, jakie pobierał u Rhomajów o Bogu w Trójcy Jedynym. Zdawało mu się, że dopiero teraz zaczyna rozumieć coś z tych nauk i stają mu się one jak gdyby bliższe. Bóg, który chciał wlać światem i zbudować Królestwo Boże na ziemi, pozwolił dla tego celu zabić własnego syna, Chrystusa. Syn-Bóg doznał wszystkich upokorzeń, jakie jest dane znać człowiekowi, a także nadludzkie męki na krzyżu. Wielka jest więc cena za posiadanie królestwa, dlatego on, Dago, też musi przejść przez wszystkie upokorzenia i ogromne męki, zanim stworzy swoje królestwo. A wtedy zasiądzie na tronie i będzie sądził żywych i umarłych, oddzielał dobro od zła. Chrześcijanie ciągle mówili o Sądzie Ostatecznym. Tak musi być taki sąd, obspanie łaskami dobrych i wiernych, a złych strącenie do Navi. Wszystko wiec na świecie miało swój sens, nawet zdrada Zylki i śmierć Vindosa. Oto przyszedł czas wiatru, który oddzieli ziarno od plew — pomyślał.

Synowie Kłodawy wrócili do dworu po kilku dniach bezskutecznych poszukiwań białego konia. Nie znaleźli takiego w okolicy. Dago nie okazał już gniewu czy smutku. Jak gdyby przestało mu zależeć na tej sprawie. W chwili ogromnego żalu i gniewu po zabiciu Vindosa zapragnął mieć znowu białego konia, teraz jednak zdawał sobie sprawę, że nie był już tym samym co kiedyś Piastunem. Białe koń mógł go zdradzić, a niczego w tej chwili tak się nie obawiał jak zdrady. Tym bardziej, że był najwyższy czas, aby zacząć działać dla odzyskania utraconej władzy, czynić krok pierwszy a potem drugi. Sztuka rządzenia ludźmi uczyła, że żywot wszelkich nieprawdopodobnych wieści był długi lub krótki w zależności, czy go się podsycało jak ognisko drewnem. Jak długo ukryci w lasach Lestków będą wierzyć w nieśmiertelność Piastuna i jego powrót, jeśli nie da im jakiegos znaku swego istnienia?

Szykuje się wojna z Karakiem — powiedział pewnego dnia do Kłodawy. — Teraz będzie można w Kruszwie otrzymać najlepszą zapłatę za konie. Czas ruszyć do Kruszwic.

— Po wojnie, gdy padnie wiele koni, będą jeszcze droższe — odpowiedziała.

Po kobiecemu czuła, że Norman, którego pokochała, chce się od niej wyrwać i dla jakichś sobie tylko znanych tajemnych celów pragnie się znaleźć w Kruszwie. Pomyślała, że zaczyna tracić tego mężczyznę, być może ostatniego jakiego miała w życiu.

W Kruszwie wiedza o swoich koniach — zaoponował Dago. — Przybędą po nie aż tutaj i po prostu je zabiorą. Radzę wziąć tylko kilka, osiem lub dziesięć. Trzeba królowej Zylce udowodnić, że jesteś jej zwycięzcą.

Wzruszył ramionami.

Nie jestem nikomu życzliwym oprócz ciebie i moich synów — odparła.

Postanowił uciekać. Domyślał się tego, gdy z dworu znik-

nęło siodło, które ukrył w śniegu obok stajni.

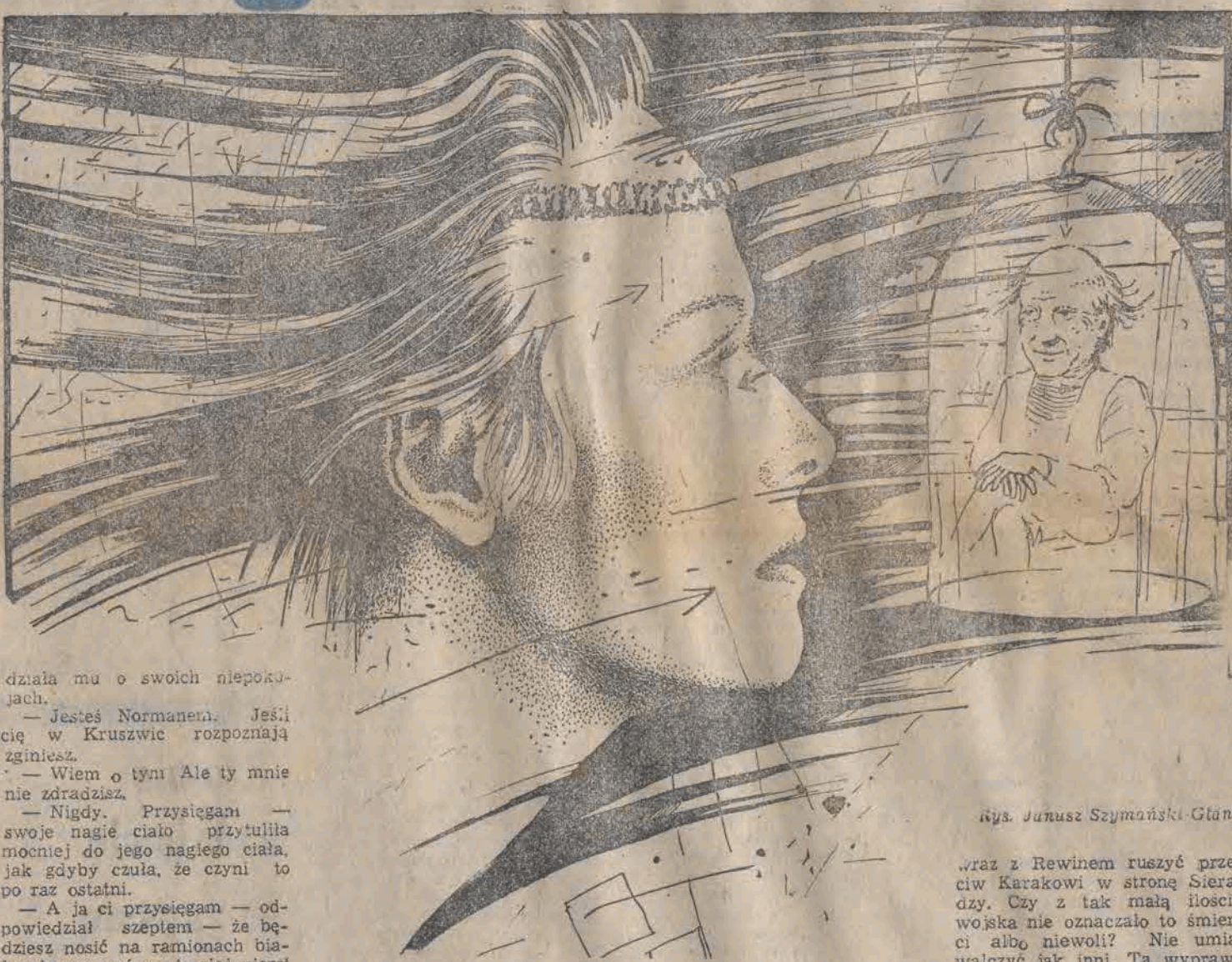
Zgadzałem się — zdecydowała po odnalezieniu siodła. — Pojedziemy do Kruszwic. Wezmę dwóch synów, trzech koniuchów i sześć koni na sprzedaż.

Z końcem miesiąca Luty, nocą przed wyjazdem, okazał dla niej większą niż dotąd namietność, lecz potem, gdy światło księżyca wpadającego przez błony w oknach, rozpraszało mrok izby, wiedziała, że nie zasnęła. Leżał z otwartymi oczami, wpatrując się w ciemne belki sufitu. Czy tęsknił za jakąś kobietą? Czego się mogła spodziewać po tej wyprawie do Kruszwic. Dlaczego tak bardzo pragnął dostać się tam, gdzie z powodu nieznajomości języka Sklawinów groziła mu śmierć albo niewola. I znowu zadał sobie pytanie bez odpowiedzi: kim jest mężczyzna, który leży koło niej, a przed chwilą był w niej i wypelnił ją rozkoszą.

Wiedząc, że nie śpi, powie-

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Głanc

działa mu o swoich niepokojach.

— Jesteś Normanem. Jeśli cię w Kruszwie rozpoznają zginięsz.

— Wiem o tym. Ale ty mnie nie zdradzisz.

— Nigdy. Przysięgam — swoje nagie ciało przytulila mocniej do jego nagiego ciała, jak gdyby czuła, że czyni to po raz ostatni.

— A ja ci przysięgam — odpowiedział szeptem — że będziesz nosić na ramionach białą płaszcz, zaś na twojej pierśi zawisnie złoty diadem królowej Zylki.

— Nie jedziesz więc, aby jej służyć? — zdumiała się.

Chciał rzec: „Jedziemy, aby ją zabić”, nie jednak nie powiedział, tylko zamknął oczy i udawał, że zasypia.

Nazajutrz, z powodu wysokiego śniegu, dopiero koło południa szerokim łukiem minęli gród w Brdowie, położony nad jednym z dwóch jezior i znaleźli się na ziemi pozbawionej lasów, pełnej wiosek i rozmaitych małych gródków. Od Brdowa do Lubotyńa znaleźli wyjeżdżony saniami szlak w śniegu i łatwo im było o nim prowadzić konie i sanie z workami pełnymi owsa uła zwierząt. Kłodawa zauważyła, że jej Norman jak gdyby lekko się otwartych przestrzeni i ciągle ponagla koniuchów, aby szybciej znaleźli się w puszczy za rzeką Noteć. A kiedy już zagłębił się w puszczy rozkazał zjechać z przetrętego szlaku, prowadzącego ku jezioru Gopło i dalej ku Kruszwie.

Zaczęli odtań prowadzić konie przez największe gęstwiny, jak najdalej od jakichkolwiek gródków i wiosek. Nie rozumiała tego, nie wiedziała, że nosi w sobie nadzieję na spotkanie z gromadą ukrywających się w puszczy Lestków, którzy być może wierzą w nieśmiertelność Piastuna. Droga przez puszcze okazała się jednak tak trudna z powodu głębokiego śniegu, i posuwali się z taką powolnością, że znowu musieli wrócić na przetręty szlakami drogę.

Nocowali przy ognisku na skraju puszczy i rozległej polaci pól. Gdzieś w pobliżu musiała być jakaś wioska a może nawet gródek, gdyż lasy w tym miejscu wypalono już przed wiekami tworząc uprawne kłajawy, zamieszkałe przez rolników i hodowców bydła.

Ziemia była tu żyzna, dawała duże plony, dlatego ludziom żyło się dostatnio i był to kraj licznie zasiedlony. Ale kiedy najstarszy syn Kłodawy, który aż w te strony zapuścił się w poszukiwaniu białego konia, powiedział im, że w okolicznych gródkach wyróżniają starostów i obsadzono je Sauromatami z Mazowii, Norman poleciał Kłodawie, aby unikali gródków dopóki mają zapasy żywności. Kłodawa uduziła się, że może podczas podróży zdradzi jej prawdziwy cel tej wyprawy, lecz on przez całą drogę milczał. Nawet nocą przy ognisku siedział milczący i chyba ani przez chwilę nie zasnął. Raptiem zauważyła, że podczas drogi starannie

czył jej ludzi. Osaczonych doprowadził do owych wódzów na czele armii.

— Kim jesteście? — zapytał surowo ten z sauromackim hełmem na plecach i z długimi, zakreconymi aż na uszy wosami.

Kłodawa wiedziała, jak się w takich razach winna zachować. Zdejęła z głowy hełm, pokłoniła się nisko i oświadczyła:

— Jestem poddana królowej Zylki. Imię moje Kłodawa z grodu Kłodawa. Prowadzę do Kruszwic konie na sprzedaż, gdyż słyszałam, że są potrzebne do wojny.

Sauromacki wódz nie okazał większego zainteresowania ani dla Kłodawy, ani jej wojowników. Z zadowoleniem przyglądał się tylko sześciu dorodnym koniom, które prowadziła.

— To dobrze, pani, że wiesz konie dla wojny — oświadczył. — Niczego tak nam nie potrzeba jak właśnie koni. A te są bardzo duże i wyglądają na silne.

— Zrodziły się z obodryckie-

w nim dygoce, skowyczy straszliwie, a potem na policzki buchnęła mu gorączka. Wystarczył jeden jego ruch buławą, okrzyk „Oto Piastun”, a trzystu wojowników i ponad pięciuset pieszych rozniósłoby na strzępy tego człowieka. Ale gdy miał przed sobą Piastuna, czuł się jak sparaliżowany, tylko palce ciągle zaciskał na rękach, mieniły lejców swego konia. Nie brał udziału w spisku na życie Piastuna, Zylka pokazała mu już trupa i wtedy zapłakał. Nie czuł się odpowiedzialny za to, co się stało, a winił za wszystkich Zylkę, którą kiedyś kochał. Bo odkąd Piastun zginął, umarła w nim także miłość do Zylki. Wzięła go do swego łoża, był w nim kilkakrotnie, nasycał żądze, a potem poczuł strach. Bo każdy, kto był w jej łożu z czasem albo ginał, albo stawał się niewolnikiem. Tak umarł nawet graf Fulko i wielu przed nim. Każdego dnia czekał odtąd na chwilę gniewu Zylki, ale do czekał się tylko rozkazu, aby

zrodziły się z obodryckie-

zrodziły się z obodryckie-

(34)

Karak, a jego Herima, weźmiesz na powrót jako niewolnika i zawięz do kraju Visulan.

— Zrób, jasne panie, swoje znaki na tabliczce woskowej, żeby wydano tym ludziom dwie srebrne grzywny — zwrócił się do Herima wódz Sauromatów.

Herim drgnął jak człowiek obudzony nagle ze snu. Odwrócił wzrok od oczu Piastuna, sięgnął do sakwy przy siodle, wyjął z niej tabliczkę powleczone woskiem oraz ryłce kościane. Zsunawszy z dłoni rękawice, niezgrabnie uczynił na tabliczce kilkanaście znaków runicznych i potem podał ją Rewinowi.

Pojedziecie z tym do Kruszwic — Rewin podjechał koniem do Kłodawy i rzucił jej tabliczkę, którą ona chwyciła w powietrzu.

Pod Dagomem zaczął tańczyć koń, ale on siedział na nim sztywno, jak gdyby zamarmięty od owego chłodu, który go ogarnął na widok Herima.

W pamięć pozostał mu jego widok, kiedy pierwszy ruszył do przodu, obojętnie wymijając Piastuna, tkwiącego na koniu. Za Herimem ruszyła cała armia, a także Rewin. Kilku żołnierzy pochwyliło konie Kłodawy i popędziło je przed sobą. Kłodawa, Dago, synowie Kłodawy i jej trzech koniuchów powlekli się ku Kruszwie. Dopiero, gdy znaleźli się na skraju lasu, a wojsko zniknęło im z oczu, pozostawiając na śniegu dobrze przetrarty szlak do Kruszwic, Kłodawa zwróciła się do Dagona:

— Po co mamy wlec za sobą koniuchów? Niech wracają do grodu.

Dago skinął głową. Czuł, że nie jest w stanie wypowiedzieć choćby jednego słowa tak bardzo miał ściśnięte gardło. A potem poczuł mdłości, odjechał na bok i zaczął wymiotować.

— Co ci to? Znowu powróciła choroba? — zaniepokoiła się Kłodawa.

Zeskoczył z konia, nagarnął dłońmi śniegu i zaczął nim wycierać sobie twarz.

— Widziałam swoją śmierć i byłem jej tak blisko, jak blisko twarz są teraz moje dłonie — wyjaśnił pobladłymi wargami.

„Ma gorączkę” — pomyślała. Nie zauważyła przecież żadnego niebezpieczeństwa. Nikt z Sauromatów nie zainteresował się wojownikami Kłodawy, a tylko jej końmi.

Tymczasem jej synowie Kłodawy siedzieli między sobą, który z nich powinien wrócić z koniuchami i saniami do domu, a który jechać z matką i Normanem do Kruszwic. Żaden z nich nie był nigdy w tak wielkim jak Kruszwie grodzie. Za dwie grzywny, które im się należały za konie, można tam było w kupieckich składach nabyć wiele pięknych i cennych rzeczy, choćby ozdoby siodła, uzdy, ostrogi, mocne sukno na nowe ubrania. Matka rozstrzygnęła spór trzaskaniem bicia.

Koniuchowie mogą wracać sami. A dla mnie i Normana będzie bezpieczniej, jeśli wy pojedziecie razem z nami.

Następnie wydała koniuchom polecenie, aby pozostali w domu konie ukryli szybko w puszczy. Rozpoznała się wojna z Karakiem, kto mógł przewidywać, czy nie przetrączy się przez ich ziemie, wzniecając pożary wiosek, powodując rabunek dobytku.

I kiedy tak stali na skraju puszczy, ujrzeni zbliżającego się ku nim od strony pół i miejsc, gdzie znikało im z oczu sauromackie wojsko — samotnego jeźdźcę na koniu. Pędził galopem i jego sylwetka rosła w oczach na tle białego pustkowi. Wkrótce rozpoznali w nim owego wielkiego pana, jednego z wódzów armii. Tego, który wypisał dla nich należność za konie. Czy wracał po to, aby odebrać im woskową tabliczkę pokrytą dziwnymi znakami?

A potem ujrzeni, jak ów wielki wódz, wpadł między nich galopem, niemal w pędzie zeskoczył z siodła i na kolanaach szedł ku Normanowi.

— Panie mój i Piastunie — błagalnie przemawiał. — Daruj mi, że zaufałem własnym oczom i uwierzyłem w twoją śmierć. Nie byłem zamieszany w spisek na twoje życie, nie zaufała mi Zylka, gdyż wiedziała, że kocham cię wielką miłością. Dago, Panie i Piastunie, daruj mi wszystko zło, albowiem byłem i jestem z toba całym sercem. Dago Panie i Piastunie, ratuj swój kraj i swoje sługi.

C.D.N